

Leonardo Calossi

**Byłem jeńcem wojennym
w Landeshut
– Kamiennej Górze**

**MUZEUM GROSS-ROSEN
Wałbrzych 2005**

Projekt okładki, skład, łamanie i druk:
Pracownia Informatyczno-Wydawnicza Muzeum Gross-Rosen

Tytuł oryginału włoskiego:
Noterelle di un internato in Germania 1943-1945
Florencja 1987

Tytuł przekładu niemieckiego:
Anmerkungen zu einer Internierung in Deutschland 1943-45
Zwangsarbeit am Beispiel
eines italienischen Militärinternierten bei Kugelfischer
Rudolph & Enke, 2003

Przekład z języka niemieckiego:
Paulina Baran

Wyd. I
Copyright © 2005
by Muzeum Gross-Rosen

ISBN 83-89824-50-7

Zrealizowano przy pomocy finansowej Ministerstwa Kultury

Organizator Muzeum:
Samorząd Województwa Dolnośląskiego

Wydawca:
MUZEUM GROSS-ROSEN
Wałbrzych, ul. Szarych Szeregów 9
tel. (0-74) 846 45 69, 842 15 80, tel./fax (0-74) 842 15 94
e-mail: muzeum@gross-rosen.pl
www.gross-rosen.pl

Przedmowa

W 2002 r. do Muzeum Gross-Rosen przyjechało kilka osób, członków niemieckiego stowarzyszenia „Inicjatywa przeciwko zapomnieniu – praca przymusowa w Schweinfurt”. Zamierzali wydać książkę – wspomnienia Leonardo Calossiego, byłego włoskiego jeńca wojennego. Szukając śladów opisanych przez niego wydarzeń dotarli aż do nas.

Pracownicy naszego Muzeum służyli im za przewodników zarówno po naszych zbiorach archiwalnych, jak i w terenie. Szybko nawiązały się nici wzajemnej sympatii, a my zorientowaliśmy się, iż temat, który interesował naszych gości, jest również ważny dla nas. Takie były początki naszej współpracy, której owocem jest niniejsza książka. Składa się ona z dwóch części.

Pierwszą – zasadniczą – stanowią wspomnienia Leonardo Calossiego, który swoją opowieść rozpoczyna w 1941 r., gdy jako podoficer Guardia di Finanza został oddelegowany do służby w Albanii. Po ponad roku przeniesiono go do Górnego Kosowa, gdzie pełnił służbę na linii demarkacyjnej, dzielącej włosko-albańską strefę wpływów od niemieckiej. Po kilku następnym miesiącach znalazł się w Tiranie, gdzie też zastało go ogłoszenie podpisanego przez Włochy zawieszenia broni z aliantami, 8 września 1943 r. Zgromadzeni w koszarach w Tiranie włoscy żołnierze z niepokojem czekali na reakcję Niemiec, które w krótkim czasie zajęły Albanie. 19 września władze niemieckie Tirany rozkazały Włochom opuścić miasto, po czym skierowano ich do obozu zbiorczego dla włoskich żołnierzy w Bitoli w Macedonii. Na miejscu zostali objęci akcją propagandową na rzecz marionetkowego rządu Włoch, którego premierem był Benito Mussolini. Calossi, podobnie jak wielu innych włoskich żołnierzy, odmówił przystąpienia do nowo tworzonych oddziałów Repubblica Sociale Italiana, czego konsekwencją było internowanie. Część internowanych wysłano do obozów na Śląsku (VIII Okręg Woj-

skowy). W grudniu 1943 r. przebywało w nich ponad 20 tysięcy jeńców włoskich. Sam Calossi 31 października 1943 r. trafił do obozu jeńców wojennych w Landeshut (Kamienna Góra), który był podobozem stalagu VIII A w Görlitz. W Landeshut pracował w zakładzie firmy Kugelfischer. Tam też zetknął się z więźniami podobozu KL Gross-Rosen – AL Landeshut, którym poświęca część swoich wspomnień. 17 lutego 1945 r. obóz włoskich jeńców wojennych został ewakuowany do Schweinfurtu. Wspomnienia kończy opis powrotu do wolnych Włoch.

Druga część książki to zebrane i opracowane przez członków stowarzyszenia „Inicjatywa przeciwko zapomnieniu – praca przymusowa w Schweinfurt”, a także przez polskiego wydawcę, informacje na temat zakładów Kugelfischer, losu żołnierzy włoskich po 8 września 1943 r., obozów, znajdujących się w czasie II wojny światowej w Landeshut oraz imienne wykazy Włochów – więźniów KL Gross-Rosen oraz AEL Gross-Rosen. Niewątpliwie interesującym zwieńczeniem całości jest opis miejsc, w których przebywał autor wspomnień, widzianych po 60 latach oczami ludzi, których wojenne losy Leonardo Calossiego zainteresowały tak bardzo, iż nie szczędzili czasu i środków, by odkryć na nowo cząstkę zapomnianej historii.

Tekst wspomnień został przetłumaczony z języka niemieckiego^{1/}, ale polski wydawca dokonał pewnych korekt w przypisach odnoszących się do znanych nam faktów.

W przedmowie do niemieckiego wydania tej książki Ambasador Republiki Włoch w Republice Federalnej Niemiec, Silvio Fagiolo, napisał: „Przypomnieć dziś o ofierze włoskich internowanych wojskowych nie oznacza tylko przedstawienia raz jeszcze *sic et simpliciter* wydarzeń drugiej wojny światowej, ale też próbę, aby doświadczenie przeszłości połączyć z rzeczywistością dzisiejszej Europy. Europejski proces integracji rozwinął się właśnie z woli ojców założycieli, aby na zawsze uniemożliwić powtórzenie takich warunków ekonomicznych, społecznych i kultu-

1/ Oryginalny włoski tekst wspomnień Leonardo Calossiego został wydany w 1987 r. pod tytułem „Noterelle di un internato in Germania 1943-1945” we Florencji przez wydawnictwo Stamberia Editorale Parenti. Wydanie niemieckie nosi tytuł „Anmerkungen zu einer Internierung in Deutschland 1943-1945. Zwangsarbeit am Beispiel eines italienischen Militärinternierten bei Kugelfischer“ i ukazało się w wydawnictwie Rudolph & Enke, Ebertshausen w 2003 roku.

rowych, które ułatwiły powstanie reżimów totalitarnych i wybuch dwóch wojen światowych. Nadzieja na pokój, która mieszkała w sercach wszystkich ludzi, umożliwiła nowy model wspólnego życia, dziś Europa jest zupełnie i definitywnie inna, niż przed drugą wojną światową. [...] Z moich doświadczeń, ze spotkań z powracającymi do ojczyzny wiem, że potrzeba przekazania wspomnień przyszłym pokoleniom dla przestrogi wraz z silnym uczuciem nadziei są mocniejsze niż złość i pragnienie zemsty”. Niech to przesłanie nadziei towarzyszy także polskiemu czytelnikowi, do rąk którego oddajemy tę niezwykłą, ukazującą kawałek wspólnej, tragicznej historii książkę, będącą również symbolem pojednania i budowania nowych mostów.

Wałbrzych, październik 2005



Od wiosny 1941 roku przebywałem w Albanii, dokąd zostałem odkomenderowany z Legionu Guardia di Finanza^{1/} z Florencji, gdzie w randze podoficera miałem wykonywać zupełnie normalną służbę. Albania od 1939 roku była zjednoczona z Królestwem Włoch, obywatele obu krajów cieszyli się tymi samymi prawami obywatelskimi i politycznymi. Do legionu odpowiedzialnego „terytorialnie” za Tiranę zostałem przydzielony po dopełnieniu takich samych formalności, jakie zarządzono by, gdyby przenoszono mnie do Bolonii lub Mediolanu. Tak więc dotarłem do Albanii sam, publicznymi środkami komunikacji^{2/}. Z obawy przed malarią, prawdziwą plagą w tym kraju, poprosiłem o przeniesienie do służby w górach i zostało mi powierzone dowództwo nad małym oddziałem, liczącym około 10 ludzi, na granicy z Czarnogórą, w albańskich górach. Aby się tam dostać, musiałem podjąć się dwudniowej podróży góorskimi ścieżkami. Wojna z Jugosławią niedawno się zakończyła^{3/} i partyzanci Tity byli na tym terenie bardzo aktywni.

Po ponad roku służby zostałem przeniesiony do jednostki w Górnym Kosowie, zlokalizowanej w północnej części miasta Pec – tak jak i wcześniej, do całkiem zwyczajnej służby. Oddział zajął stanowisko na tak zwanej linii wiedeńskiej, porozumienia Ciano – Ribbentrop, to znaczy na linii

1/ W przypadku włoskiej Guardia di Finanza chodzi o zorganizowany korpus do kontroli finansowej, celnej i granicznej.

2/ Teren, gdzie został skierowany Calossi nie był objęty walkami, dlatego zachwyca się on okolicznościami, w których dochodzi do odkomenderowania: ma tam pełnić „zupełnie normalną służbę”, jedzie tam sam i używa normalnych środków komunikacji, jego przełożeni zachowują się, jakby Albania leżała tuż za progiem i rezygnują z wszelkich specjalnych formalności. Nie wspomina, że jeszcze niedawno tereny te objęte były krwawymi walkami – od połowy 1940 r. nasilały się akcje zbrojnego albańskiego ruchu oporu i w ramach akcji odwetowej Włosi nasilili terror, przeprowadzono liczne akcje pacyfikacyjne, co osłabiło aktywność albańskich grup bojowych w zimie 1940-1941 r.

3/ Jugosławię została zaatakowana 6.04.1941, skapitulowała 17.04.1941 r.

demarkacyjnej, która dzieli włosko-albańską strefę wpływów od niemieckiej. Czulem się tam jak na końcu świata. Zadania, jakie tam mieliśmy, były też tylko takie, jakie mają celnicy na wszystkich granicach, przynajmniej teoretycznie. Praktycznie ograniczało się to tylko do naszej skromnej obecności, ponieważ pomiędzy dwiema strefami odbywała się wymiana tylko jednego „towaru” – nędzy.

Każdy z oddziałów Guardia di Finanza składał się z 10-15 ludzi i stacjonował oddalony od kolejnego o dziesiątki kilometrów. Każdy był uzbrojony w stary karabin model 91^{4/} i dysponował jako środkiem transportu tylko swoimi własnymi nogami. Najbardziej odległe stanowiska oddziałów wyposażone były w karabiny maszynowe.

Oddziały nasze były łatwym celem partyzantów. W sąsiedniej jednostce żołnierz pełniący nocą wartę został wyeliminowany, a przez okno wrzuciono do szopy służącej za mieszkanie oddziału, granaty ręczne. Byli zabici i ranni. W innym oddziale strażnicy celni zostali zaskoczeni i rozbrojeni. Aby dopełnić nieszczęścia, zostali pociągnięci do odpowiedzialności przed sądem wojennym za tchórzostwo.

W jeszcze innym oddziale, na terenie Czarnogóry w okolicach Berne, niedaleko od miejsca, gdzie ja stacjonowałem, doszło nawet do bardziej brzemiennego w skutki wydarzenia: kwatera oddziału została zaatakowana i podpalona. Strażnicy celni bronili się dzielnie, aż do całkowitej przegranej. Mając pewność, że zbliża się koniec, starszy szeregowy, który dowodził oddziałem, sięgnął po kilka granatów, zerwał zawleczkę i rzucił się z okna na atakujących. Nazywał się Francesco Meattini, był dobrym przyjacielem i pochodził – jak ja – z Toskanii. Został później odznaczony złotym medalem za odwagę.

Po tych wszystkich wydarzeniach, nocą dla zachowania ostrożności spaliliśmy na wolnym powietrzu w pobliżu małego budynku, który był naszym schronieniem, i każdej nocy zmienialiśmy miejsce. Czy jednak rzeczywiście było konieczne wystawianie biednych chłopaków na takie niebezpieczeństwa? Oddziały wojskowe stacjonowały w pobliżu wiosek lub

4/ Autor używa wyrażenia „moschetto” (muszkiet). Karabin był tak nazywany przez włoskich żołnierzy w niemałym stopniu z powodu jego złych parametrów technicznych. Chodzi o karabin kaliber 6,5 mm, model 1890-91.

małych miast, w oddaleniu od linii demarkacyjnej, dysponowały przynajmniej liczebnością kompanii i mogły skutecznie bronić się przed atakami. Oddziały Guardia di Finanza natomiast były zorganizowane tak jak oddziały na włoskiej granicy państwowej w Alpach. Z powodu izolacji i niewielkiej liczebności były stale narażone na trudne i często niebezpieczne sytuacje, jak i opisane wyżej ich konsekwencje.

Zima w tej okolicy Bałkanów jest straszna, lód i śnieg uniemożliwiają aktywność i ruch. Gdyby stan zdrowia któregokolwiek z nas się pogorszył, nie byłoby ratunku, ponieważ do tych izolowanych, diabelnie oddalonych od cywilizacji miejsc nie mogłaby dotrzeć pomoc.

Po kilku miesiącach znalazłem się w stolicy, w Tiranie. Zostałem włączony do kompanii, która działała pod rozkazami nadkomisarza bezpieczeństwa w Albanii. Od pewnego czasu do naszych obowiązków należało też pełnienie straży przy źródłach ropy naftowej w Borgo Ciano^{5/}.

Podczas służby w nocy, jako że komary atakowały w niewiarygodnej liczbie, musieliśmy osłaniać twarz zasłoną, nie tylko z powodu nieprzyjemności powodowanych przez uciążliwe owady, ale aby zapobiec malarii. Byłoby prawdziwym nieszczęściem, gdybym zaraził się właśnie teraz, po tym jak ze strachu przed malarią męczyłem się w nieprzyjaznych górach.

Często też myślałem o powrocie do domu, bo już spędziłem w Albanii przepisowy czas. Perspektywa bliskiego powrotu do Włoch sprawiała, że służba mniej mnie męczyła, nawet jeśli wydarzenia i wypadki wojenne nie wróżyły niczego dobrego.

Nadszedł 8 września 1943, ten chyba najbardziej sławny i najbardziej zgubny dzień dla milionów Włochów. O powrocie do domu mogłem zapomnieć!

Był bardzo ciepły wieczór, typowy dla klimatu w Tiranie o tej porze roku. Po posiłku, razem z innymi kolegami wyszliśmy na dziedziniec koszar, żeby się ochłodzić. Już od jakiegoś czasu, ze względów bezpieczeństwa, nie opuszczaliśmy wieczorem koszar. Radio w kantynie nadawało

5/ Borgo Ciano (wieś Ciano) jest włoskim określeniem dla leżących na terenie Valony (w Albanii) pól naftowych.

wiadomości i muzykę. Nagle program został przerwany i ogłoszono zawieszenie broni z aliantami^{6/}. Przez kilka chwil panowała głęboka cisza, potem jednak wybuchła nieokiełznana radość: to koniec wojny, koniec wielu smutków, zniszczeń i ofiar.

Skąpy komunikat generała^{7/} Badoglio ograniczał się tylko do obwieszczenia wydarzenia, bez wchodzenia w szczegóły i bez specjalnych rozkazów dla oddziałów zbrojnych stacjonujących za granicą. Przypuszczaliśmy, że rozkazy zostaną wydane dowódcom normalną drogą służbową. Gdy trochę opadły emocje, zaczęło się rozmyślanie o tym, co może się wydarzyć i ogarnęło mnie uczucie trwogi i troski. Przymierze z Niemcami zostało po zawieszeniu broni praktycznie rozwiązane. Nie wiedzieliśmy jaką postawę przyjmą teraz Niemcy wobec nas. Czy zostaniemy potraktowani jak tchórze i zdrajcy, po tym jak jednostronnie zrezygnowaliśmy ze wspólnej walki? Czy wczorajsi sprzymierzeńcy będą dziś naszymi wrogami? Jeśli tak miałyby być, musielibyśmy natychmiast wystąpić przeciwko nim, zanim nie minie zaskoczenie i nie otrzymają wsparcia.

W międzyczasie wszyscy oficerowie udali się na odprawę do dowódcy legionu, pułkownika Enrico Palandri. Wszyscy oczekiwaliśmy z napięciem, w niepokoju, jakie decyzje zapadną i jakie rozkazy zostaną wydane. Jednak zamiast rozkazów, oficerowie polecili nam pozostać w koszarach i poinformowali, że odnośnie do naszego postępowania i obranej taktyki zostaną wydane rozkazy w późniejszym czasie. A jak powinniśmy zachowywać się wobec Albańczyków? Zawieszenie broni oddzieliło Albanie od korony włoskiej. Czy albańscy partyzanci będą nas jeszcze traktować jak wrogów?

Noc minęła spokojnie i rankiem 9 września zostaliśmy poinformowani, że powinniśmy być gotowi do akcji w wypadku, gdyby Niemcy wystąpili przeciwko nam. Ani śladu albańskich partyzantów! W koszarach podjęte zostały natychmiast dodatkowe środki ostrożności. W pobliżu naszych

6/ 25.07.1943 r. Wielka Rada Faszystowska podjęła decyzję o przekazaniu królowi Wiktorowi Emanuelowi III dowództwa nad siłami zbrojnymi. Na czele rządu stanął marszałek Pietro Badoglio. Podjęto potajemnie rokowania z aliantami i 3.09.1943 podpisano rozejm. Wiadomość tę podano do publicznej wiadomości 8 września.

7/ Błąd Calossiego, Badoglio był marszałkiem.

koszar znajdowało się lotnisko. Widzieliśmy lądujące tam samoloty niemieckiej Luftwaffe z zaopatrzeniem i żołnierzami na pokładzie.

Do Albanii przybyło bardzo dużo niemieckich oddziałów, ale jeszcze nie podejmowały żadnych wrogich akcji przeciwko nam. Oficerowie nadal milczeli, nie byli w stanie wydawać rozkazów lub wychodzić z własną inicjatywą, także dlatego, że nie otrzymali od swoich przełożonych żadnych rozkazów ani rozporządzeń. Miałem wrażenie, że każdy z nas pozostawiony został samemu sobie. Dręczyło nas pytanie, co powinniśmy robić? Powrót do ojczyzny drogą morską był wykluczony, bo całe wybrzeże było pilnie strzeżone.

Gnany ciekawością i pragnieniem, aby się dowiedzieć, co się dzieje, udałem się do centrum miasta. Tu niewiele się zmieniło, Albańczycy wydawali się obojętni wobec wydarzeń; Niemców ani śladu. Spotkałem tylko kilku włoskich żołnierzy, którzy z nieodpowiedzialnego zarozumiałstwa wyrzucili sznurowane buty i obcięli spodnie na wysokości kolan, aby małpować angielską modę^{8/}.

Krażyła plotka, że siły policyjne, karabinierzy i strażnicy celni zostaną odesłani do domów, ale była to jednak tylko plotka.

Albański podpułkownik Beqirai Reshat, od dłuższego czasu mój bezpośredni przełożony, zaproponował mi wspólną ucieczkę, aby przyłączyć się do grupy partyzantów działających w okolicy. Podpułkownik Reshat, odważny oficer z doskonałymi manierami, który kończył studia w Akademii Wojskowej w Rzymie, bez zastrzeżeń i całkowicie zintegrował się z nami. Najwyraźniej był zatroskany sytuacją. Inni albańscy podoficerowie i strażnicy celni z naszych oddziałów stacjonujących w Tiranie odeszli jeden po drugim. Podziękowałem podpułkownikowi za okazane mi zainteresowanie, dałem mu jednak do zrozumienia, że ja mam już tylko jeden cel: powrót do Włoch. Kilka dni później, bardzo wzruszony, pożegnał się ze wszystkimi i znikł. Zastanawiałem się jak zostanie przyjęty przez swoich ludzi? Czy będzie musiał drogo zapłacić za swoją wierność Włochom? Miałem nadzieję, że nie, i życzyłem mu wszystkiego dobrego,

8/ Przez „angielską modę” rozumiano krótkie spodnie khaki, noszone przez angielskich żołnierzy w ciepłych strefach klimatycznych.

bo godnie i z wielkim szacunkiem, także wobec ludzi z własnego kraju, podkreślał zawsze z dumą, że jest Albańczykiem.

Następne dni nie przyniosły niczego nowego: nadal zupełnie nie było wiadomo jaki będzie rozwój wypadków.

Dochodziły do nas pogłoski, podobno ze źródeł zazwyczaj godnych zaufania, o naszym powrocie do Włoch, inni natomiast twierdzili, że mamy być deportowani do Niemiec. Nie mogłem się dowiedzieć, przez kogo i w jaki sposób pogłoski te były rozpowszechniane, miałem jednak nadzieję, że są to tylko przypuszczenia^{9/}.

Niemcy całkowicie przejęli kontrolę w Albanii i wprowadzili drastyczne prawo wojenne, któremu także my, Włosi, podlegaliśmy. W swoim czasie mogliśmy jeszcze stawić opór i walczyć, ale zawieszenie broni zdużyło konieczną do podjęcia akcji wolę walki. Pozostawaliśmy prawie bierni wobec rozwoju wypadków, które miały zaważyć na naszym losie. Musieliśmy się mu poddać, cokolwiek by przyniósł. Czy zachowaliśmy się właściwie? Trudno powiedzieć. Pewne jest jednak, że nikt nam nie pomógł podjąć słusznej decyzji.

Zgłosili się do nas Niemcy i poinformowali, że powinniśmy się przygotować na wymarsz z Tirany, w kierunku linii kolejowej Saloniki – Belgrad. Musieliśmy pokonać pieszo odcinek około 200 km. Każdy żołnierz musiał nieść swój karabin z dwoma magazynkami, oficerowie – normalny pistolet służbowy. Zapowiedziano nam, że jeśli ktoś się oddali od kolumny, inni towarzysze zostaną za to poddani egzekucji. Z tego powodu dowódcy napominali nas, aby trzymać się razem i dla dobra wszystkich nie podejmować żadnych nieprzemyślanych akcji. Nie rozumiałem, dlaczego Niemcy zobowiązali nas do niesienia broni. Być może chcieli nas mocniej związać ze sobą, albo też chcieli, aby partyzanci odnieśli wrażenie, że Włosi dalej są siłą zdolną do walki i do obrony. Albo dla jakichś innych celów?

W koszarach zapanowało ożywienie, magazyn odzieży został prawie wzięty szturmem. Pobrałem mundur, płaszcz, parę butów wojskowych z rowkiem na podeszwie do przymocowania nart, sweter, kalessony, ko-

9/ •ródłem tych pogłosek z „wiarygodnych źródeł” były zamierzone kłamstwa i oszustwa Wehrmachtu na temat rzekomej repatriacji.

szule, krótkie i długie skarpety. Mundur i buty górskie założyłem od razu na siebie, inne rzeczy upchałem w plecaku, który jednak nie był ciężki. Wszystkie inne rzeczy osobiste, przechowywane w kufrze i w służbowej skrzyni, zostawiłem z ciężkim sercem w koszarach. Szczególnie przykro mi było z powodu książek, które polubiłem. Nikt nie dawał mi rad, co powinienem wziąć, i z czasem miało się okazać, czy byłem dość przewidujący.

Wszystkim została wręczona ankieta osobowa, która normalnie jest przechowywana w dowództwie legionu. W portfelu przechowywałem zdjęcie żony, dwa ostatnie listy, które otrzymałem z Włoch, dowód osobisty i obrazek błogosławionego Antoniego Patrizi^{10/}, któremu jest szczególnie wierny każdy dobry obywatel Monticiano^{11/}, oraz 150 albańskich lek^{12/}. Byłem już wyposażony do wyjazdu. Z broni automatycznej wyjęliśmy zamki, aby nie można było już jej użyć, i wrzuciliśmy do znajdującej się w pobliżu fosy.

19 września. Osłepiające słońce nad Tiraną. W alei, w centrum nowego miasta, zostali zebrani wszyscy włoscy żołnierze, każdego rodzaju uzbrojenia, z każdego korpusu. Tworzyli długą kolumnę około 2000 ludzi, z oficerami na czele, i pod dowództwem – jeśli można tak powiedzieć – pułkownika karabinierów, Giulio Gamucci.

O godzinie dziewiątej kolumna ruszyła na wschód, w kierunku miasta Elbasan. Tempo marszu było wolne, kilku żołnierzy już po krótkim czasie szło z trudem, ponieważ zapakowany różnymi rzeczami tornister był za ciężki. Niemców nie było widać, przynajmniej w bezpośredniej bliskości kolumny.

Wczesnym popołudniem, po pokonaniu 17 kilometrów, został zarządzonej postój. Samochody ciężarowe z żywnością były już na miejscu. Po prawej stronie drogi znajdował się gaj oliwny, a obok niego gęsto poro-

10/ Błogosławiony Antonius Patricius urodził się w 1280 roku w Sienie. Był opatem klasztoru Augustianów w Monticiano, gdzie zmarł w 1311 r.

11/ Monticiano, miejscowość, w której urodził się Leonardo Calossi, leży w Toskanii (środkowe Włochy), w południowej części prowincji Siena, na wzgórzach Colline Metallifere, na prawym brzegu rzeki Merse.

12/ Lek – nazwa jednostki monetarnej Albanii.

śnięty pagórek z zagrodą wiejską na szczycie, po lewej stronie kolejny gaj oliwny, ograniczony strumieniem. Noc spędziliśmy w gaju oliwnym, pod gołym niebem, bez namiotów lub innej ochrony. Moja grupa stacjonowała po lewej stronie drogi. O brzasku usłyszeliśmy wściekle ujadanie psa z domu na wzgórzu i po krótkiej chwili jakiś głos wołający przez megafon: „Włosi poddajcie się, jesteście otoczeni”. Nietrudno było zgadnąć, że to albańscy partyzanci. Wszyscy zrywaliśmy się, zaskoczeni i zaniepokojeni. Pomyślałem, że te słowa nie mają znaczenia, bo już w dniu podpisania zawieszenia broni zostaliśmy „wzięci do niewoli”. Jeśli wtedy byliśmy uzbrojeni, to tylko z powodu bezwzględnego rozkazu Niemców. Cóż jednak mogliśmy zdziałać z naszymi starymi karabinami i paroma pociskami? Po chwili z polany, gdzie stacjonowali karabinierzy, dobiegły odgłosy gwałtownej strzelaniny z broni automatycznej. Kapitan w pobliżu mnie wyciągnął pistolet i chciał strzelać na chybił trafił. Oficer tej samej rangi chwycił go za ramiona, rozbroił, wyrzucając mu, że jest szalony i nieodpowiedzialny. Strzelanina nie trwała długo, wrócił spokój, a kilku dowódców partyzanckich zeszło na dół do nas. Nie sprawiali wrażenia wrogich, a nawet wzbudzali zaufanie. Poinformowali nas o przybyciu do ich jednostki angielskiego komisarza. Dali nam możliwość zdecydowania, czy chcemy się do nich przyłączyć, czy kontynuować marsz. Chciałem wtedy zapytać partyzantów, dlaczego nie interweniowali w Tiranie w dniu zawieszenia broni. Wtedy Niemcy byli jeszcze nieobecni, a my ogłuszeni i zdezorientowani. Ale zostawmy to^{13/}.

W trakcie tego spotkania usłyszeliśmy nagle warkot motorów i krótko potem dwa opancerzone niemieckie samochody wyjechały zza zakrętu drogi. Na ich widok partyzanci szybko wycofali się do lasu. Samochody pancerne otworzyły kilkuminutowy intensywny ogień, potem znów zapadła zupełna cisza. Gdy opadł kurz, oczom naszym ukazał się ponury wynik strzelaniny: spalone ciężarówki, konie karabinierów, przywiązane po-

13/ Naczelne dowództwo 9. Armii Włoskiej otrzymało już 10 września żądanie kapitulacji od operujących w pobliżu Tirany partyzantów. Jeszcze do 14 września włoskie oddziały pomagały słabym siłom niemieckim w obronie Tirany przed partyzantami. Jako podoficer Calossi zapewne nic o tym nie wiedział. Por. G. Schreiber, *Die italienischen Militärinternierten im deutschen Machtbereich 1943-1945. Verraten - Verachtet - Vergessen*, München 1990, s. 194 nn.

przedniego wieczora do drzew, najwyraźniej się uduśliły. O ile mogłem się zorientować, nie było strat w ludziach. Może partyzanci chcieli tylko zniszczyć kilka samochodów transportowych. Dowiedziałem się, że kilkuset żołnierzy z oddziałów zaopatrzeniowych, którzy nocowali na wzgórzu, zostało zmuszonych przez partyzantów do pójścia z nimi. Odzyskana przez karabinierów żywność została załadowana na samochody ciężarowe straży celnej, i w niedługim czasie kolumna znów ruszyła w drogę. Zostaliśmy poinformowani, że w celu uniknięcia dalszych wypadków równina Elbasan powinna zostać osiągnięta tak szybko, jak to tylko możliwe i tam będzie zorganizowany następny postój.

Odcinek był dosyć długi i musieliśmy pokonać przełęcz górską. Nie szliśmy już jako zwarta grupa, każdy maszerował tak szybko, jak mógł. Długi odcinek drogi przebyłem, siedząc okrakiem na tylnym błotniku niemieckiej ciężarówki. Do miejsca postoju, powyżej Elbasan, dotarliśmy już po zapadnięciu zmroku. Wkrótce otrzymaliśmy posiłek – pastasciutę^{14/} z sosem pomidorowym.

W następnych dniach kontynuowaliśmy marsz wzdłuż albańsko-jugosłowiańskiej granicy, wciąż w bardzo wolnym tempie. Zaczęło się robić coraz chłodniej, także z powodu osiągniętej wysokości. W czasie drogi miałem okazję kupić kukurydzę i winogrona. 25 września postój wypadł w prawie niezamieszkaną wsi, nocowaliśmy w kilku małych domach.

Następnego ranka mieliśmy przejść przez przełęcz Qafa Tanes, linię graniczną między Albanią i Jugosławią. Można tam dostać się tylko stromymi, krętymi ścieżkami, co sprawia, że miejsce to nadaje się dobrze do zasadzek i ataków z zaskoczenia. Pułkownik Gamucci postanowił użyć samochodów ciężarowych, aby dojechać do jeziora Ohrid, gdzie został przewidziany kolejny postój. Grupa strażników celnych wsiadła na samochody ciężarowe, gdzie byliśmy ściśnięci jak sardynki w puszcze.

Około południa, jako pierwsi, dotarliśmy bez żadnych nieprzewidzianych zdarzeń do miejsca przeznaczenia. Ciężarówki wróciły, by zabrać karabinierów. Jednak, gdy oni dojechali na przełęcz, zostali zaatakowani przez albańskich partyzantów i zmuszeni do przerwania jazdy. Dalej partyzanci poprowadzili ich górską ścieżką. Pułkownik Gamucci dostał do

14/ Włoska potrawa narodowa – makaron z sosem pomidorowym i parmezanem.

niesienia trójnog karabinu maszynowego i był brutalnie traktowany. Także inni oficerowie poddawani byli szykanom. Podoficer Fantini, strażnik celny, którego znałem już dość długo, wykorzystując fakt, że na wąskiej górskiej ścieżce szli gęsiego, rzucił się w dół zadrzewionego stoku i udało mu się dotrzeć do jeziora. Od niego dowiedziałem się, co się stało. Na wąskich krętych ścieżkach na przełęczy znalazło śmierć wielu włoskich żołnierzy, szczególnie strzelców górskich. Nie wiedzieliśmy już kto jest naszym przyjacielem, a kto wrogiem.

Zatrzymaliśmy się na północnym brzegu jeziora Ohrid, gdzie wykopaliśmy rodzaj dołów strzeleckich w piasku, jako ochronę przed ewentualnymi dalszymi atakami. Albańscy partyzanci najwyraźniej próbowali zapobiec naszemu przeniesieniu. Tragiczne wiadomości nie spowodowały jakichś specjalnych reakcji w reszcie kolumny.

Następnego dnia dotarliśmy do miasteczka Ohrid na terenie jugosłowiańskim. Zaprowadzono nas do koszar, gdzie zostaliśmy rozbrojeni przez wymizerowanych żołnierzy bułgarskich, którzy wciąż byli sprzymierzeni z Niemcami. Głęboki smutek przeniknął serca wszystkich. Widziałem jak oficerowie ze łzami w oczach rzucali na stos swoje pistolety. Gdy i ja nie miałem już tego starego karabinu, który przez tyle lat towarzyszył mi i gwarantował bezpieczeństwo, poczułem, jakbym stał się bezwartościowy, jakby wszystko mi odebrano. Fakt, że zostaliśmy rozbrojeni, jeszcze wyraziściej uzmysłowił nam naszą pożałowania godną sytuację. Od handlarzy ulicznych kupiłem winogrona i inne owoce; ze 150 lek zostało mi już tylko trochę drobnych.

28 września dotarliśmy do macedońskiego miasta Bitola^{15/}. Leży ono przy linii kolejowej, która prowadzi z Salonik. Za sobą mieliśmy 10 dni ciężkiego i niebezpiecznego marszu. Pojeliśmy jak ciężka i niepewna jest nasza przyszłość!

W Bitoli urządzono „Ital Biwak”, obóz zbiorczy dla włoskich żołnierzy, którzy przybyli z Albanii albo z przygranicznych terenów Jugosławii.

15/ Jednostki 9. Armii Włoskiej zostały zmuszone przez Niemców do marszu, w zależności od miejsca stacjonowania, do jednej ze stacji kolejowych – Pec, Prilep Skopje lub Bitola. Por. Schreiber, *Die italienischen...*, dz. cyt., s. 195.

W centrum miasta panował ożywiony ruch, by nie powiedzieć pewien chaos: megafony nadawały „Jugend” („Młodość”) i inne faszystowskie hymny oraz hasła propagandowe popierające Duce, m.in.: „Duce – powrócił, aby ratować swój naród, zdradzony i poniżony przez podstępного Badoglio”^{16/}. Sławiono też nową armię marszałka Graziani. Z uporem powtarzane były też apele o masowe zaciąganie się do oddziałów „Repubblica Sociale Italiana”, tej „wyjątkowej siły włoskiej kultury”. Organizowane były zebrania, na których występowali mówcy w czarnych koszulach^{17/}, a także w mundurach naszej armii. Próbowano wszelkimi środkami przekonać nas, abyśmy przyłączyli się do „nowego porządku”. Mówca przypochlebiał się nam, potem znów pouczał nas i otwarcie groził deportacją do obozów pracy w Niemczech, gdzie zginiemy z głodu i wyczerpania. Co się tyczy tych pogroźek, zostały dokładnie spełnione!

Ten huraganowy ogień propagandy, prawie że pranie mózgu, trwało przez kilka następnych dni, ale nikt nie wypełnił deklaracji przystąpienia. Nikt też nie krytykował faszyzmu ani otwarcie, co rozumiałe, ani w ukryciu. Każdy zachował swoje poglądy dla siebie. Co zdumiewające, nasze opinie były podobne, chociaż nikt nie wskazał nam sposobu rozwiązania tego dylematu. Z mojej grupy tylko dwóch strażników celnych przyłączyło się do Repubblica Sociale Italiana, ale obaj wyjaśnili zgodnie, że ich jedyną motywacją była chęć powrotu do Włoch. Jednym pociągnięciem pióra „zaczernili” żółte płomienie^{18/}, które przez tyle lat dumnie nosili. Trochę nas to dziwiło, ponieważ uważaliśmy wtedy wojnę za przegraną i zakończoną, i byliśmy zdania, że nic już nie może zmienić losu Włoch.

Ponowny wybuch wojny, w jakikolwiek sposób usprawiedliwiony, nie mógłby przynieść naszemu umęczonemu krajowi nic innego, jak tylko nowe szkody. Po wszystkich tych tragicznych wydarzeniach, jakie miały

16/ Benito Mussolini zdymisjonowany 25 lipca 1943 r. ze stanowiska premiera i aresztowany, 12 września został uwolniony przez spadochroniarzy niemieckich i stanął na czele rządu Włoskiej Republiki Socjalnej (Repubblica Sociale Italiana), proklamowanej 23 września 1943, całkowicie uzależnionej od Niemców. Ministrem wojny w rządzie tej republiki został marszałek Rodolfo Graziani.

17/ Czarne koszule nosili włoscy faszyci.

18/ „Żółte płomienie” – oznaka Guardia di Finanza na nakryciu głowy.

miejsce w ciągu trzech lat niepotrzebnych walk, nie mieliśmy zamiaru walczyć za duce i za faszyzm.

Plotka, że siły policyjne zostaną na powrót przeniesione do ojczyzny, aby tam pełnić służbę, już nie krążyła. Byliśmy już całkiem pewni, że zostaniemy przetransportowani do Niemiec. Pytanie tylko, na jakich warunkach. Jako jeńcy wojenni? Nie! Nie, z prostego powodu, że nikt nie wypowiedział wojny Hitlerowi^{19/}. Może jako internowani? To było możliwe.

Nadszedł koniec naszego pobytu w Bitoli. Były to dni pełne trosk i niepokojów. Opanował mnie nieopisany smutek, nie wiedziałem jaki los mnie czeka i kiedy zobaczę moich najbliższych, nie wiedziałem nawet, czy w ogóle jeszcze ich zobaczę.

3 października. Niekończąca się kolumna ludzi ruszyła w kierunku dworca, gdzie czekał długi pociąg towarowy. Bardzo szybko wagony zostały zapakowane żołnierzami. Zająłem miejsce w zabrudzonym pyłem węglowym wagonie. Najwyraźniej dzień wcześniej był w nim transportowany węgiel. Kilka godzin później każdemu został przydzielony kawałek czarnego chleba i pociąg ruszył w wolnym tempie w kierunku Belgradu. Często stał długi czas na bocznych torach, aby przepuścić inne pociągi.

Robiło się coraz chłodniej i coraz bardziej odczuwaliśmy brak zadania, mogącego dać nam choć trochę ochrony. Siedzieliśmy na podłodze wagonu ciasno jeden przy drugim; w nocy robiliśmy z naszych płaszczy coś w rodzaju ogromnego koca, aby najlepiej jak można w tych warunkach, chronić się przed zimnem.

Do Belgradu pociąg dotarł przez Skopje. Ponad dwa dni nie dostaliśmy nic do jedzenia: głód dawał się we znaki. W nadziei na znalezienie kawałka chleba wywróciłem plecak podszewką do góry – na próżno. Wieczorem trzeciego dnia zostały w końcu rozdzielone racje chleba i po łyżce marmolady, ale po kilku minutach zostaliśmy poinformowani, że nie powinniśmy jeść marmolady, bo jest zanieczyszczona opiłkami miedzi. Zjadłem ją mimo ostrzeżenia.

19/ Pisząc te słowa L. Calossi mógł nie wiedzieć, że 13 października 1943 rząd P. Badoglio wypowiedział wojnę III Rzeszy.

Transport ruszył w dalszą drogę i obrał kierunek na północ. Gdy osiągnął węzeł kolejowy za Belgradem, ostatnie złudzenia co do powrotu do ojczyzny zostały rozwiane – pociąg skręcił w kierunku węgierskiej granicy, zamiast przez Chorwację pojechać do Włoch.

Przekroczyliśmy Drawę, znaleźliśmy się na Węgrzech. Wkrótce po przekroczeniu granicy zatrzymaliśmy się w małym miasteczku, którego nazwy nie mogę sobie przypomnieć. Tam pozwolono nam podać nasze nazwiska i adresy miejscowym cywilom, którzy obiecali powiadomić nasze rodziny, że tamtędy przejeżdżaliśmy (tak się jednak nie stało).

Dalej jechaliśmy przez równinę węgierską. Czuję kęsający głód, nic do jedzenia nie zostało już nam rozdane. Podczas gdy pociąg jechał z prędkością pieszego przez rozległe pola buraków, wyskoczyłem z wagonu, wyrwałem dwa buraki i wskoczyłem na stopień jednego z dalszych wagonów. Na najbliższym postoju wróciłem na swoje miejsce i oczyściłem buraka, żeby go zjeść. Niestety, mój żołądek zbuntował się przeciwko tej potrawie. W tym momencie mógłbym umierać z głodu, ale mimo to nie mogłbym przełknąć ani kawałka buraka. Ogarnął mnie strach i prawie instynktownie wziąłem do ręki fotografie mojej żony i świętego Antoniego Patrizi, prosząc go o opiekę.

W węgierskiej wiosce, w której pociąg się zatrzymał, mężczyźni i kobiety, którzy widzieli już przejeżdżające inne pociągi z wychudzionymi włoskimi żołnierzami, przynieśli nam chleb i owoce. Powiedzieć tym wspałałomyślnym ludziom tylko „dziękuję”, to za mało.

W końcu zostaliśmy przeniesieni do zamykanych wagonów towarowych – był już najwyższy czas. Pociąg przekroczył granicę węgiersko-austriacką i zrobił postój w okolicy Wiener Neustadt, tuż przy dopiero co przekopanym polu ziemniaków. Ślady po ziemniakach były jeszcze widoczne. Moje doświadczenie rolnicze, ale też instynkt podpowiadał mi, że na polu musi się jeszcze znajdować trochę ziemniaków. Zabrałem się więc za kopanie i miska szybko wypełniła się aż po brzeg pięknymi świeżymi ziemniakami. Inni żołnierze wpadli na ten sam pomysł i wkrótce pole roilo się od szarozielonych mundurów. Niemieccy żołnierze pozwalają nam na to. Z kamieni zbudowałem rodzaj pieca, postawiłem na niego miskę, zapaliłem ogień i ... posiłek gotowy. Zjadłem całą miskę gotowanych kartofli bez soli.

Pociąg wjechał do Niemiec, mineliśmy Passau, Ratyzbone, Norymbergę, Erfurt, Lipsk i Drezno. Jak zwykle na bocznych torach trwały długie postoje. Mówiło się, że powodem naszej długiej podróży jest to, że

różne obozy koncentracyjne^{20/} są już przepelnione włoskimi żołnierzami i że dla nas, którzy przybyliśmy stosunkowo późno, szuka się obozów, które mogłyby nas przyjąć.

Bez przerwy cierpieliśmy wielki głód. W nieregularnych odstępach czasu były nam wydzielane porcje chleba i jakiejś breji, która była określana mianem zupy. Podczas naszego przejazdu nierzadko widziałem niemieckich cywilów, którzy nas wyszydali, gestykulowali wrogo w widoczny sposób i krzyczeli „Badoglio”.

Wjechaliśmy do Polski. Przez Wrocław, Łódź, Warszawę transport dotarł do Białej Podlaskiej, niedaleko rosyjskiej granicy. Był 16 października. W miasteczku znajdował się obóz^{21/}. Panowała już ciemność, gdy dojechaliśmy do obozu. Na ulicach leżał głęboki śnieg. Obóz, otoczony wysokim płotem z drutu kolczastego z wieżami strażniczymi na rogach, miał formę kwadratu. Zostaliśmy zakwaterowani w drewnianych barakach. Zamiast łóżek tylko długa prycza.

Następnego ranka zajęliśmy się przede wszystkim naszymi koszulami, swetrami i bielizną. Wygotowaliśmy je we wrzącej wodzie, ponieważ w osławionych wagonach obficie już pokazały się wszy. Po załatwieniu tego specjalnego prania jeden z żołnierzy chciał rozwiesić ubrania na górnym drucie zamiast na dolnym. Zabiła go salwa z karabinu maszynowego. Nieszczęśnik, z twarzą zalaną krwią, spadł na plecy na druty kolczaste.

20/ Obozy dla jeńców wojennych, w przeciwieństwie do obozów koncentracyjnych, które były podporządkowane SS, znajdowały się do 1.10.1944 pod administracją głównego dowództwa Wehrmachtu (Oberkommando der Wehrmacht). Calossi używa tu i w innych miejscach pojęcia obóz koncentracyjny – prawdopodobnie z powodu ciężkich i beznadziejnych warunków życia jeńców wojennych, którzy byli pozbawieni wolności, zmuszeni do niewolniczej pracy i poddani samowolnemu terrorowi.

21/ Obóz jeniecki – stalag 366/2, filia stalagu 366 w Siedlcach, założona w sierpniu 1941 r., istniała do ewakuacji w lipcu 1944 r. Początkowo więziono tam jeńców radzieckich. Pod koniec 1943 r. przywieziono grupę internowanych oficerów włoskich – zwolenników marszałka Badoglio (*Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939-1945. Informator encyklopedyczny*, Warszawa 1979, s. 97). Do stycznia 1944 r. z 2400 oficerów więzionych w obozie tylko 144 odrzuciło propozycję przystąpienia do oddziałów Repubblica Sociale Italiana (por. Giorgio Rochat, *Die italienischen Militärinternierten im Zweiten Weltkrieg*. Sonderdruck aus: *Quellen und Forschungen aus italienischen Archiven und Bibliotheken*, 67/1987, Tübingen 1987, s. 367 oraz przypis 46 na s. 369).

Był pierwszym z długiego szeregu poległych. To zdarzenie przepęliło nas wszystkich grozą i zdumieniem, ogarnął nas wielki strach. Służbę wartowniczą w obozie pełnili dezernerzy z Armii Czerwonej, wiarołomni mongolscy żołnierze, barbarzyńcy, indywidualia pozbawieni wszelkich ludzkich odruchów.

W Białej Podlaskiej przebywaliśmy kilka dni. Jako że razem z nami było kilku kapelanów wojskowych, na głównym placu obozu odbywały się msze święte. Podczas gdy jeden z kapelanów czytał mszę, drugi wyjaśniał znaczenie liturgii. Było to dla nas głębokie przeżycie, szczególnie ze względu na miejsce i okoliczności.

Obóz ten był przeznaczony tylko dla oficerów, dlatego my, podoficerowie i żołnierze szeregowi, musieliśmy zostać przeniesieni gdzie indziej.

Znowu ustawiono nas w kolumny i poprowadzono do dworca kolejowego. Stamtąd wyruszyliśmy w podróż przez całą Polskę, aż do Görlitz w Prusach^{22/}: był 24 października. Przeszliśmy przez całe miasto. Było prawie ciemno, gdy się zatrzymaliśmy. Całą noc spędziliśmy pod gołym niebem, na polu przy zabudowaniach obozowych. Było bardzo zimno, temperatura utrzymywała się z pewnością kilka stopni poniżej zera, a my nie mieliśmy żadnej możliwości, żeby się gdzieś schronić.

O wschodzie słońca zostaliśmy grupami wprowadzeni do obszernego budynku. Tam musieliśmy zdjąć ubranie i odłożyć je razem z plecakiem. Ubrania zostały oddane do dezynfekcji w zbiorniku ciśnieniowym. Następnie zostaliśmy poddani całkowitemu goleniu wszystkich części ciała i wysłani pod dość zimny prysznic, i w końcu musieliśmy, bez możliwości wysuszenia się, przejść dalej do dużego pomieszczenia i czekać nago kilka godzin, aż zostaną nam zwrócone ubrania. Po zakończeniu tej procedury, czyszcii i ogoleni, poprowadzeni zostaliśmy do sąsiedniego obozu głównego (Stammlager) VIII A. Był to bardzo rozległy kompleks, ze znajomymi drutami kolczastymi, wieżami strażniczymi i długimi rzędami drewnianych baraków. W obozie znajdowali się ludzie różnych narodo-

22/ Do państwa pruskiego Görlitz należał od 1815 r.; po zjednoczeniu Niemiec w 1871 r. Prusy weszły w skład Rzeszy Niemieckiej. W latach II wojny światowej Görlitz znajdowało się w prowincji III Rzeszy – Niederschlesien (Dolny Śląsk). Obecnie dawne Görlitz rozdzielone jest granicą państwową na dwa miasta: w Niemczech – Görlitz (Saksonia), w Polsce – Zgorzelec (Dolny Śląsk).

wości. Wszyscy naznaczeni już ciężkimi warunkami internowania. Nosili łachmany i drewniane buty, poruszali się powoli i z trudem. Domyśliłem się, że są to chorzy i już niezdolni do pracy internowani żołnierze.

Zostaliśmy sfotografowani, zarejestrowani i otrzymaliśmy znaczki identyfikacyjne – kwadratowe, składające się z dwóch części blaszki. Na górnej i na dolnej części znajdował się numer obozu i numer więźnia. Blaszka, z rowkiem pośrodku, w przypadku śmierci jeńca zostawała podzielona. Jedną część wieszano na szyi, drugą zostawała złożona w archiwum. Otrzymałem numer 92 753, który dawał wyobrażenie, jak wielu przede mną dotarło do tego piekielnego miejsca. Pytali nas o zawód, jaki wykonywaliśmy w cywilnym życiu. Prawie wszyscy podaliśmy – „rolnik”, w nadziei, że zostaniemy wysłani do pracy w gospodarstwach, i nie będziemy już cierpieć głodu. Na plecach kurtki i na nogawce spodni został wypisany niezmywalną farbą skrót IMI (Italienischer Militärinternierter – internowany włoski wojskowy).

31 października, razem z ponad 300 moimi towarzyszami, wyruszyłem do komanda pracy w Landeshut^{23/} na Dolnym Śląsku. Zostaliśmy ustawieni w szeregach po pięciu i eskortowani przez niemieckich żołnierzy, uzbrojonych w karabiny z nasadzonymi bagnetami. Po przemaszerowaniu około 4 kilometrów, dotarliśmy do komanda pracy. Początkowo ulica biegła prawie płasko, potem – najpierw lekko się wznosiła, a na ostatnim kilometrze, w pobliżu obozu – stromo. Droga po obu stronach obsadzona była wysokimi lipami.

Obóz składał się z dwóch rzędów baraków. Był, tak jak wszystkie obozy, otoczony drutem kolczastym, ale nie miał wież strażniczych. Jeden rząd baraków był już zajęty przez rosyjskich jeńców wojennych, w każdym baraku przebywało 25-30 mężczyzn. Wewnątrz, na dwóch poziomach wzdłuż ścian, znajdowały się prycze z siennikami, na środku stał piec węglowy, stół i dwie ławy. Było już ciemno, gdy każdy otrzymał kawałek chleba.

23/ Landeshut, obecnie Kamienna Góra (woj. dolnośląskie), leży w dolinie Bobru, pomiędzy Sudetami Środkowymi i Zachodnimi, w Kotlinie Kamiennogórskiej. Od Zgorzelca (Görlitz) oddalona jest ok. 120 km. Arbeitskommando Antonienwald (Antonówka) w Landeshut, gdzie przebywał autor, to jeden z większych podobozów Stalagu VIII A w Görlitz. Antonówka znajduje się w odległości ok. 5 km od centrum Kamiennej Góry.

Następnego dnia wczesnym rankiem zostaliśmy zebrani na dużej drodze pomiędzy barakami i mieliśmy możliwość trochę poznać otoczenie obozu. Komando robocze położone było pomiędzy uprawnymi polami, na stoku wzgórza. Poniżej, przy końcu drogi, znajdowała się grupa budynków.

Komendant był podoficerem Wehrmachtu. Podporządkowanych jego rozkazom było około 15 ludzi ze służby wartowniczej i eskorty. Byli to żołnierze ranni na froncie, z widocznymi kontuzjami; jeden z podoficerów, na skutek odmrożenia stóp na froncie rosyjskim, z trudem chodził. Obecny był też cywilny tłumacz, wysoki, chudy jak szczapa typ z gruczną twarzą. Najpierw rozdzielonych zostało kilka funkcji: sierżant Jadar z Fiume^{24/}, znający trochę język niemiecki, został mianowany kapo obozu, podoficer Mappelli, były pracownik spółki z Mediolanu, także ze skromną znajomością niemieckiego, był odpowiedzialny za stosunki między nami, internowanymi, i komendantem obozu. Zastępca podoficera Guardia di Finanza, Francesco Zinobio, mój przyjaciel, dostał pod opiekę lazaret. Inny podoficer, wspierany przez trzech żołnierzy, miał się zająć kuchnią. Kilku innych podoficerów, w tym i ja, zostało mianowanych kapo w poszczególnych barakach, zadanie to nie zwalniało od pracy w fabryce.

Komendant obozu, za pośrednictwem tłumacza, skierował do nas kilka przestróg. Szczególnie kładł nacisk na właściwe zachowanie, czy to wewnątrz obozu, czy to w naszym przyszłym miejscu pracy. Domagał się skrupulatnego przestrzegania wydawanych poleceń. Przedstawił też długą listę najróżniejszych zakazów, które zostały wydane dla nas, internowanych żołnierzy (nigdy nie zostało użyte pojęcie jeńiec wojenny). Kończąc długą przemowę stwierdził, że wszystkie wykroczenia przeciw regułom będą karane z największą surowością, że będą nawet traktowane jako akt sabotażu, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

W baraku zająłem pierwsze miejsce na dolnej pryczy, w pobliżu drzwi. Ubrania nasze rozłożyliśmy na pryczach, kurtka powinna służyć jako poduszka. Ogrzewać nas musiał, na ile było to możliwe, jeden koc.

24/ Fiume – włoska nazwa miasta portowego, znajdującego się obecnie w Chorwacji i noszącego nazwę Rijeka.

Następnego dnia, około 4 rano drzwi baraku zostały otwarte na oścież i usłyszeliśmy głośną komendę: „Wstawać!” Pobudka – podoficer z Fiume, stojąc na placu przed barakami, wrzeszczał: „Apel”. W ciągu kilku chwil wszyscy znaleźliśmy się na zewnątrz i staliśmy w szeregach po pięć osób. Najpierw komendant, a potem żołnierze zaczęli odliczanie. To była długa i okropnie dokładna procedura.

Nie mieliśmy możliwości, aby umyć twarz, a tym bardziej, aby zjeść cokolwiek.

Około 4.30 kolumna wymaszerowywała z obozu i o 6.00 docierała na miejsce pracy. Eskortowało nas czterech uzbrojonych w karabiny żołnierzy. Po nas do fabryki przychodzili rosyjscy jeńcy wojenni. Każdy niósł miskę, przywiązaną sznurkiem do pasa. Kilku żołnierzy zamiast tego miało zardzewiałe puszkę.

Po przybyciu do Landeshut część z nas została przydzielona do fabryki materiałów lotniczych; druga część, w tym ja i 100 innych włoskich żołnierzy – do ogromnej fabryki, gdzie wcześniej była przędzalnia. Niemieccy żołnierze skierowali nas do pracowników cywilnych. W fabryce zatrudnionych było bardzo dużo ludzi, którzy pracowali przy przebudowie przędzalni w fabrykę łożysk kulkowych. Firma FAG Kugelfischer, numer jeden na świecie w produkcji łożysk kulkowych, z siedzibą w Schweinfurcie, na terenie Frankonii^{25/}, została przeniesiona do Landeshut z obawy przed atakami bombowymi aliantów.

Razem z innymi zostałem – zgodnie z podanym zawodem rolnika – wyposażony w kilof i szufłę i skierowany do wykopania dziury przy samym budynku fabryki. W ziemię miał być w tym miejscu wpuszczony pojemnik. Była to bardzo wyczerpująca praca. Pracownicy cywilni, którzy pracowali razem z nami, byli nieubłagani i nie pozwalali nam ani na przerwę, ani na odpoczynek. Po południu praca została przerwana. Zgromadzono nas w wielkiej pustej sali i dostaliśmy trochę zupy ugotowanej z ziemniaków, suszonych buraków i ziaren zbóż. Głód był tak wielki, że smak tej breji nie miał znaczenia.

Dzień pracy skończył się o 18.00, po ustawieniu w szeregi i kilkakrotnym przeliczeniu podjęliśmy marsz w kierunku obozu. Dotarliśmy tam

25/ Frankonia - jedna z krain geograficzno-historycznych Niemiec. Obecnie część Bawarii.

około 19.30. Jeszcze raz przeliczanie i do baraków. Po dobrych 16 godzinach pracy i marszu byłem wyczerpany i głodny. Razem z trzema żołnierzami, również kapo baraków, poszedłem do położonej we wschodniej części obozu kuchni, aby zabrać racje żywnościowe (zupa, 250 gram chleba i łyżka marmolady na głowę). Chleb był czarny i miękki i trudno zgadnąć z jakich składników został upieczony. Podział racji prowadził do skarg, ponieważ niektórzy twierdzili, że ich zupa jest za cienka, zawiera za mało plasterków ziemniaków.

Dni miały monotennie, a praca była bardzo wyczerpująca: musiałem mieszać cement, przenosić różne materiały, sortować odpadki i sprzątać pomieszczenia fabryki.

Pewnego ranka, razem z dwoma innymi internowanymi, pod nadzorem „majstra” (tak mamy nazywać cywilnych pracowników fabryki), poszedłem przynieść bagaż z mieszkania w centrum Landeshut. Niemiec nakazał nam maszerować środkiem ulicy. Jeńcom zabroniono chodzić chodnikiem, być może miało to ułatwić pilnowanie nas. Był to bogato urządzone dom dobrze sytuowanych ludzi. Na gzymsie kominka i na innych meblach ułożone były piękne czerwone jabłka. Pani domu, dystygowana kobieta, widząc nasze pożądlive spojrzenia chciała nam podać jabłko. Ale majster powstrzymał ją, mówiąc: „NIE! To są Włosi”. Zrobiło mi się smutno i poczułem jak beznadziejna jest nasza sytuacja; zrozumiałem, że niemieccy pracownicy cywilni zachowują się wobec nas tak samo jak żołnierze.

Z każdym dniem czułem się coraz słabszy, a po pasku od spodni poznałem, jak bardzo już jestem wychudzony. Podział wieczornej racji żywności był zawsze powodem do dyskusji i kłótni. Na szczęście wszystko zaczynało się i kończyło wewnątrz baraku, ale koniecznie trzeba było coś przedsięwziąć, aby zakończyć te nieprzyjemne kłótnie. Postanowiliśmy więc, że będziemy stawiać wszystkie miski na stole, nalewać równą porcję zupy i sondować łyżką, czy każda zupa jest tak samo gęsta. Do podziału chleba jeden z żołnierzy zbudował prymitywną wagę, która umożliwiała przydzielenie każdemu kawałka chleba tej samej wagi.

Po jakimś czasie, razem z kilkoma innymi kolegami, zacząłem pracę na nocnej zmianie. O 16.30, po zjedzeniu naszych porcji, wyruszyliśmy z obozu. Aż do południa następnego dnia nie dostaliśmy już ani kęsa. Powiedziano mi, że nocna zmiana będzie trwała 14 dni: byłem załamany, a moją zmorą stała się myśl, że nie będę w stanie przetrzymać tej męki.

Ogarnęło mnie uczucie lęku i pełen rozpaczony zacząłem myśleć o ucieczce, natychmiast jednak odrzuciłem ten pomysł, bo na ulicach leżał głęboki śnieg i chodziły patrole policji, ale przede wszystkim dlatego, że brakowało mi sił do marszu.

Mój przyjaciel, sanitariusz, widząc w jakim stanie się znajduję, doradzał mi, żebym wymienił zegarek na chleb. Chleb niemieckich robotników był o wiele bardziej pożywny niż nasz. Rzeczywiście, następnego dnia za mój zegarek dostałem od niemieckiego robotnika 4 kilogramy chleba. Postanowiłem, że każdego dnia zjem tylko kawałek, ale głód zwyciężył. Pod koniec zmiany już kilogram tego dobrego chleba był zjedzony.

Skończyła się praca na nocną zmianę. Za dnia rozładowywaliśmy wagony towarowe. Fabryka miała połączenie boczną koleją z dworcem, i wagony wjeżdżały do środka fabryki. Wyładowywaliśmy tokarki różnych rozmiarów, niektóre były ogromne.

W Wigilię 1943 roku szalała straszna burza śnieżna. Jak zwykle intensywnie pracowaliśmy. Z powodu syberyjskiego zimna na zmianę wchodziliśmy na wagon, aby obsługiwać wyciąg, za pomocą którego ogromna tokarka miała być zestawiona na ziemię. Następnie maszyna była ustawiana na rolkach i przetaczana do środka fabryki. Gdy tak pracowaliśmy, usłyszeliśmy nagle ścisnąjący serce krzyk i na naszych oczach rozegrała się mrożąca krew w żyłach scena: żołnierz Giacomo Cani dostał się między tokarkę i słup przy bramie i został dosłownie zmiażdżony. Kilka wiader wody usunęło ślady tragedii i pracowaliśmy dalej, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Przyszło Boże Narodzenie, ale dla nas, już od miesiąca, był to czas postu. W komandzie pracy niemiecki ksiądz odprawił mszę świętą, poza tym nic nie przypominało o tym wielkim święcie.

Niemcy bardzo się spieszyli, chcieli szybko rozpocząć produkcję, dlatego musieliśmy już drugiego dnia świąt normalnie pracować.

Kilku kolegów, z powodów zdrowotnych, opuściło komando pracy. Strasznie się bałem, że zachoruję i będę musiał zakończyć życie w piekle Görlitz. Gdy choroba była poważniejsza niż przejściowa gorączka, chory zostawał usunięty z obozu i nigdy więcej o nim nie słyszeliśmy.

Pola ciągnące się wzdłuż naszej drogi przemarszu między komandem pracy a fabryką obsadzone były ziemniakami i żytem. W tej okolicy, a według mojej wiedzy także w innych regionach Niemiec, przechowywało się ziemniaki na polu. W określonym miejscu układany był kopiec ziem-

niaków, długi na kilka metrów, wysoki na metr i szeroki na dwa metry. Ziemniaki bardzo starannie okrywano słomą z żyta i grubą warstwą ziemi. Z łatwością rozpoznawaliśmy miejsca przechowywania ziemniaków – dwa były tuż obok drogi. Nieustanny głód zabijał w nas jakiegokolwiek racjonalne myślenie, myśli krążyły uporczywie tylko wokół kwestii przeżycia. Ponieważ my, Włosi, jesteśmy wyjątkowo zręczni, jeśli chodzi o improwizację, szybko dojrzał plan, aby odebrać ziemniaki z kopców. Droga prowadząca z obozu do fabryki robiła w pobliżu miejscowości szeroki zakręt w kształcie podkowy. O godzinie 5 rano, gdy kolumna zbliżała się do początku zakrętu, było jeszcze bardzo ciemno. Trzech żołnierzy wychodziło na dwa kroki z szeregu i ukrywało się za pniami wielkich lip. Po przejściu obok nich całej kolumny, biegli do kopców, porywali po kilka ziemniaków, ukrywając je w spodniach, które w kolanach były zasnurowane owijaczami, i na końcu zakrętu po kolei, ciągle zakryci przez pnie lip, zajmowali swoje miejsce w szeregu i maszerowali dalej...

Parę dni później, z kilkoma towarzyszami, którzy zawsze maszerowali obok mnie z obozu do fabryki, postanowiliśmy odważyć się na przygodę z ziemniakami. Wybór padł na mnie. Wziąłem z kopca, podobnie jak żołnierze, którzy zrobili to wcześniej, kilka kilo ziemniaków i rozdzieliłem wśród kolegów. Jeszcze tego samego wieczora zjedliśmy je, po uprzednim upieczeniu w bardzo prymitywny sposób: kroiliśmy nie obrane ziemniaki na cienkie plasterki, lekko zwilżaliśmy śliną i przyklejaliśmy do rozgrzanych ścianek piecyka; po kilku minutach były gotowe i chrupiące.

Jednego z następnych ranków panowała burza śnieżna i smagał nas przenikliwy wiatr. Operacja przeliczania przed wymarszem do pracy została wykonana dość szybko. Śnieg kleił się do ciała i silnie ograniczał widoczność. Dla ochrony przed zimnem uszyłem z kawałków materiału czapkę z klapkami na uszy, ponieważ mój górski kapelusz nie przykrywał uszu. Z powodu surowego zimna doszło już do wielu przypadków zapalenia ucha. Tego ranka przemarsz był męczący jak nigdy dotąd. Po przybyciu do fabryki kolumna została zatrzymana i wszyscy przeszukani. U dwóch żołnierzy znaleziono ziemniaki, które ukryli na ciele pod ubraniem. Obaj żołnierze zostali z miejsca wyprowadzeni. Nigdy więcej o nich nie usłyszałem. Później dowiedziałem się, że nie chodziło tylko o parę kilo skradzionych ziemniaków, że wyrządzona szkoda była dużo większa. Ktoś w pośpiechu nie zakrył z powrotem dziury w kopcu, mroz przeniknął do środka i ziemniaki w dużej części się zepsuły. Gdy wieczorem wróciliśmy do obozu, podoficer z Fiume wyładował na nas

złość i groził ciężkimi konsekwencjami. Ten podoficer z dnia na dzień stawał się coraz bardziej złośliwy i czasami zadawałem sobie pytanie, dlaczego nie przystąpił on do Repubblica Sociale Italiana.

Nadszedł Nowy Rok 1944. W komandzie pracy, jak zwykle w dni świąteczne, panowało duże ożywienie. Wykonywaliśmy osobiste zabiegi higieniczne. Około godziny 10 musieliśmy ustawić się w szeregi i następnie, małymi grupami, wchodziliśmy do szpitala, mieszczącego się w jednym z baraków. Byliśmy ważeni nago, u mnie waga pokazała 58 kilogramów, podczas gdy moja normalna waga ciała wynosiła około 70 kilogramów.

W dawnej przedzalni rozpoczęła się produkcja łożysk kulkowych i większość z nas została przydzielona do pracy pomocniczej. Mnie przydzielono do tokarni. Praca tutaj polegała na wytoczeniu w łożysku rowka, w którym obracają się kulki lub rolki. Oddział rozmieszczony został w szerokim pomieszczeniu, stało tam osiem tokarek w czterech rzędach. Podlegał on trzem majstrom, którzy kierowali i kontrolowali produkcję: pierwszy – prawdziwy egzemplarz najczystszej „aryjskiej” rasy, szczupły blondyn, spojrzenie miał zawsze ponure. Drugi – wielki jak szafa, często krzyczał, ale miał dobre usposobienie. Trzeci w ogóle nie wyglądał na Niemca, mały typ z czarnymi włosami, ale był dobrym facetem. Przy każdej tokarce pracował włoski żołnierz lub rosyjski jeńiec wojenny. Maszyna, na której ja pracowałem, stała druga w czwartym rzędzie. W moim życiu jeszcze nigdy nie byłem w warsztacie mechanicznym, więc nie miałem najmniejszego pojęcia o maszynach. „Blondyn” ustawił tokarkę i wyjaśnił mi, żebym teraz dokładnie uważał na to, co on robi: pokazywał mi, w jaki sposób łożysko jest napinane na trzpień i w jaki sposób umocowuje się nastawione na tę specjalną pracę narzędzie. Potem ręcznie uruchomił korbę i wytoczył w jednym łożysku rowek, pierścień o średnicy 5 cm, który był mierzony przez przeznaczony do tego aparat i wzorzec. Instrumenty pomiarowe znajdowały się na pulpicie obok tokarki. Majster obrobił około dziesięciu części, zanim osiągnął wymaganą dokładność. Ołówkiem zaznaczył na cylindrze punkt, do którego należy przekręcić korbę. Dał mi do zrozumienia, że łożysko, jeśli nie osiągnie się tego punktu, musi być poprawione, natomiast jeśli przekroczyłoby się ten punkt, łożysko byłoby wytoczone za daleko i musiałoby zostać wyrzucone do wybrakowanych części. W końcu kazał mi naśladować to, co przed chwilą zrobił. Mimo początkowej niepewności

moje ruchy stawały się coraz zręczniejsze i po krótkim czasie stałem się mechanikiem obróbki metalu.

Przyjąłem nową pracę prawie z radością, między innymi dlatego, że mogłem teraz przebywać w ogrzonym zamkniętym pomieszczeniu. Ale ta praca była też bardzo męcząca, ponieważ przez 12 godzin musiałem stać, pochylony nad tokarką, a także dlatego, iż ręczne wprawienie tokarki w ruch wymagało dużo siły. Przewidziana minimalna norma wykonanych sztuk była, biorąc pod uwagę nasze umiejętności, bardzo wysoka i zmuszała nas do nieustannej i skoncentrowanej pracy. Poprawianie wykonanych części lub wadliwe sztuki mogły zostać potraktowane jako akt sabotażu, a odpowiedzialny za to internowany czy jeńiec mógłby otrzymać status więźnia politycznego i zostać zesłany do obozu zagłady. Niestety, później zdarzyły się takie wypadki. W większości chodziło przy tym o pożałowania godnych żołnierzy, analfabetów lub prawie analfabetów, zupełnie nie nadających się do specjalistycznej pracy.

Inni internowani pracujący w naszym oddziale odpowiedzialni byli za transport łożysk na małych wózkach, które bardzo ciężko było pchać. Inni znów, uzbrojeni w miotły, szufle i widły, zbierali opiłki i błędnie wykonane części, które załadowywali na mały wagonik, ciągnięty na żelaznej sztandze. Łożyska większych rozmiarów były obrabiane na automatycznych tokarkach. Kto przy tym pracował, miał wprawdzie pracę lżejszą, ale musiał mieć bez przerwy napiętą uwagę, co bardzo wyczerpywało nerwowo. Dwadzieścia minut przed końcem zmiany maszyny były wyłączane, każdy musiał wyczyścić i osuszyć swoją tokarkę, ponieważ pokrywała ją warstwa płynu obróbkowego, którym nieustannie była spryskiwana.

Jednego z owych ranków, gdy jak zwykle obudził nas wrzask „wstać” i przygotowałem się na kolejny dzień ciężkiej pracy, w chwili wymarszu kolumny, podoficer z Mediolanu zawołał mnie i poinformował, że mam się stawić u komendanta obozu. Tam mi powiedzieli, że mam poczekać na chudego jak szczapa tłumacza. On także był odpowiedzialny za rozdział prowiantu i nieraz miałem okazję rozmawiać z nim w fabryce. Nie mogłem się dowiedzieć niczego na temat powodu spotkania.

Tłumacz przyszedł około godziny 8, wręczył mi wiadro i nóż i dał znak, że mam iść za nim. Opuściliśmy obóz i poszliśmy do jednego z położonych w pobliżu małych budynków, w których znajdowały się pomieszczenia magazynowe. Otworzył jeden magazyn i powiedział mi, że mam wybierać ze sterty zepsute ziemniaki, pozwolił mi też zabrać jadalne jeszcze części. Zamknął drzwi i oddalił się. Zabrałem się do pracy, najładniejsze

ziemniaki wrzucałem do wiadra, a zepsute resztki zostawiałem na ziemi. Wczesnym popołudniem odprowadził mnie z powrotem niemiecki żołnierz.

Wróciłem z pełnym wiadrem do baraku, ziemniaki upiekłem na piecu i za chwilę suty posiłek był gotowy. Mój żołądek był jak beczka bez dna. Nie mogłem się pohamować i łykałem jednego ziemniaka za drugim, tak dużo, że dostałem od tego silnej niestrawności. W nocy poczułem, że mam wysoką gorączkę i rano w porze budzenia zameldowałem komendantowi mój stan. Komendant zmierzył mi gorączkę, stwierdził, że jest za wysoka i pozwolił mi pójść do szpitala w baraku. Tam nie było ani jednego wolnego siennika. Tak więc siadłem na ławce, położyłem głowę na stół i zastygłem w tej pozycji na kilka godzin.

W końcu przyszedł mój przyjaciel, pielęgniarz, i powiedział, że mam jeszcze trochę poczekać. W międzyczasie żołnierz, mający już szklany wzrok, został łagodnie złożony na noszach, zanieiony do samochodu szpitalnego i wywieziony. Wykorzystałem okazję i wyciągnąłem się na jeszcze ciepłym sienniku. Po jakimś czasie wrócił pielęgniarz. Gdy zobaczył mnie leżącego na zwolnionym przez żołnierza miejscu, zrobił gest zniecierpliwienia, chwycił mnie zdecydowanie za ramię, podniósł i wyprowadził na zewnątrz. Na moje zdziwienie i oburzenie odpowiedział, że ten żołnierz zmarł podczas drogi z obozu do Landeslut na zapalenie opon mózgowych, wywołane przez tyfus plamisty. Przeszedł mnie dreszcz, nie z powodu gorączki, ale na myśl o tym, co mogło mi się przydarzyć. Pielęgniarz kazał mi natychmiast zdjąć wszystkie rzeczy i dał mi do okrycia się czysty koc. Każda część odzieży została przejrzana centymetr po centymetrze i dopiero po zakończeniu tych skrupulatnych poszukiwań niebezpiecznych pasożytów pielęgniarz pozwolił mi wrócić do baraku.

Leżał śnieg, ale na szczęście nie było tak zimno jak w inne dni. Wieczorem zatrucie pokarmowe znalazło swoje... „naturalne ujście” i gorączka spadła. Ten rzekomo szczęśliwy dzień okazał się bardzo niebezpieczny i szkodliwy dla mojego zdrowia.

Barak lazaretu został opróżniony w celu dezynfekcji. Lekko chorych odesłano z powrotem do ich baraków, podczas gdy ciężko chorzy musieli ruszyć w drogę do Görnitz.

W końcu cień nadziei pojawił się w naszym, naznaczonym ciągłym wyczerpaniem, życiu: rozdano nam kartki, na których mogliśmy wysłać wiadomości do członków naszych rodzin, którzy na pewno żyli w pełnym

obaw i troski napięciu, nie mając wieści o naszym losie. Wyobrażałem sobie, jak wiele wzruszeń i radości będzie, gdy po tak wielu miesiącach milczenia dostaną nasze kartki, nawet jeśli pozostanie w ich sercach troska o naszą niepewną przyszłość. Oprócz zezwolenia na korespondencję otrzymaliśmy też pozwolenie, aby członkowie naszych rodzin wysyłać do nas paczki żywnościowe, co spowodowało, że wiara w lepszą przyszłość trochę w nas odżyła. Wysłałem większą liczbę kartek w nadziei, że przynajmniej jedna osiągnie swój cel.

Dni mijały wolno a mój, już i tak krytyczny, stan fizyczny pogarszał się coraz bardziej.

Pewnego niedzielnego ranka, gdy w komandzie pracy zajmowałem się zwykłymi, osobistymi zabiegami higienicznymi, jeden ze strażników celnych, który wraz ze mną był na służbie w Tiranie, poinformował mnie, że wraz z trzema innymi planuje uciec z obozu. Spytał mnie, czy chcę się przyłączyć. Mój stan zdrowia nie pozwalał na tego typu przygodę i czułem się zmuszony dać mu odmowną odpowiedź. Oddalić się z obozu było dosyć łatwo, ponieważ Niemcy czuli się pewnie i byli przekonani, że nic nigdy nie może się wydarzyć. Około północy szli spać i obóz pozostawał bez jakiegokolwiek straży.

Około godziny 2 w nocy, czterej strażnicy celni przecięli druty w ogrodzeniu, opuścili obóz i ruszyli, zgodnie z planem, w drogę na południe, w kierunku czeskosłowackiej granicy. Najpierw szli kawałek wzdłuż drogi, potem, ze względów bezpieczeństwa, pobiegli przez pola. Śnieg sięgał kolan, co bardzo utrudniało marsz. Przy pierwszych promieniach słońca dotarli do samotnego, niezamieszkanego domu. Tam byli zmuszeni zrobić postój, bo jeden z nich, Sycylijczyk, miał atak gorączki. Włamali się do szopy z maszynami rolniczymi i rozpalili ogień. Wkrótce, prawdopodobnie zaalarmowani przez dym, przyszli dwaj starsi Niemcy. Od razu się zorientowali, że mają do czynienia z włoskimi żołnierzami. Było dla nich jasne, co się stało. Podczas gdy jeden Niemiec się oddalił, drugi pilnował czterech strażników celnych, którzy spokojnie siedzieli wokół ognia. Po krótkim czasie Niemiec wrócił z dwoma policjantami, którzy nakazali uciekinierom iść za sobą. Zostali przekazani żandarmerii w Landeshut, i pytani po kolei o powody ucieczki. Zgodnie wyjaśniali, że z powodu nieludzkich warunków życia w obozie, czuli się zmuszeni do ucieczki.

Kilka dni później zostali przywiezieni z powrotem do komanda pracy. Ledwo dotarli na miejsce, komendant obozu, podoficer, traktując ich z pogardą, wyzwał w okropny sposób. Natomiast my gratulowaliśmy im od-

wagi, którą udowodnili. Ucieczka czterech strażników celnych przyniosła dwie zmiany: jedną, pozytywną – znów otrzymywaliśmy po łyżce marmolady i zupa była lepsza, mniej wodnista, bardziej pożywna; drugą, negatywną – baraki były zamykane na noc już o godzinie 9 wieczorem, i aż do następnego ranka nie było możliwości wyjścia na zewnątrz. Do załatwiania naszych naturalnych potrzeb, w pobliżu wejścia wstawiono wiadro, bezpośrednio obok mojego siennika. Po wydarzeniach pierwszej nocy musiałem koniecznie upomnieć moich kolegów, aby nie korzystali więcej z wiadra. Wszyscy się z tym zgodzili. Często jednak wola zostawała pokonana przez potrzebę – szczególnie z powodu naszego podupadłego stanu fizycznego. Tak więc w nocy powietrze w baraku przesiąknięte było obrzydliwym fetorem, wiadro było przepelnione i ciecz rozlewała się po podłodze. Wszystko to czyniło naszą egzystencję jeszcze bardziej nieznośną!

Wysłałem kolejne kartki do mojej żony i innych krewnych, ale nie dostałem ani paczek, ani listów. Krążyły pogłoski, że sytuacja we Włoszech jest niepewna i przypuszczalnie korespondencja nie dochodzi normalną drogą. Tylko kilku żołnierzy z Wenecji dostało paczki, ale ich radość spowodowała przygnębienie wszystkich pozostałych. W paczkach znajdowały się suchary i słodczyce, czyniło to tego, który je otrzymał szczęśliwym na dzień lub trochę dłużej. Za każdym razem, gdy wysyłałem kartkę prosiłem, aby przysłano mi mąkę pszenną albo kasztanową, którą mógłbym używać najdłużej.

Dni mijały, a nic nie wskazywało, aby nasze cierpienia miały się skończyć. Racje żywności znów były obrzydliwe, tak jak wcześniej. „Blondyn”, który w międzyczasie lepiej mnie poznał, przynosił mi – może dlatego, że widział jak cierpię pochylony nad tokarką – z kantyny dla niemieckich robotników talerz zupy, którą zjadałem w jego obecności. Dziękowałem mu, a on, wyraźnie zadowolony z siebie i swojego ludzkiego gestu, wracał do kantyny odnieść talerz. Pozwoliło to mi zorientować się, że zupa niemieckich pracowników była lepsza niż nasza, nie żadne delikatesy, ale bez wątplenia bardziej pożywna.

Majster z dobroduszną twarzą zaprowadził mnie kilka dni później na obrzeże miasta do baraków, w których mieszkali niemieccy robotnicy, pochodzący z głównej siedziby Kugelfischer, a więc ze Schweinfurta.

Minęliśmy pozostałości spalonego w pożarze baraku. Części belkowanego stropu zwisały niebezpiecznie. Mistrz załadował mi na ramiona ciężką skrzynię z osobistymi rzeczami i wyruszyliśmy z powrotem. Gdy prze-

chodziliśmy obok spalonego baraku, zauważyłem na podłodze na wpół spalony okrągły chleb i na wpół upieczone, na wpół surowe jabłka. Instynktownie rzuciłem się w tym kierunku, aby zebrać chleb i jabłka, i nie zauważyłem pocernionej przez dym belki, wystającej na wysokości wzrostu człowieka. Uderzyłem skrzynią w belkę i skrzynka spadła na ziemię. Niemiec zaczął wrzeszczeć jak szalony i groził mi. Gdy jednak zobaczył, że skrzynce nic się nie stało, uspokoił się, i już nie zabraniał mi zebrać chleba i jabłek. Zaniósłem skrzynkę do mieszkania w pobliżu fabryki. Potem wróciłem do mojej zwykłej pracy. Chleb był rozmiękczonej przez wodę gaśniczą, odciąłem spaloną część i zjadłem na miejscu spory kawałek. Resztę zostawiłem na wieczór i na drugi dzień. Oczyszczyłem jabłka, na ile to było możliwe, zjadłem kilka silnie nadpalonych, a pozostałe upchałem w kieszeni. Podczas powrotu do obozu opowiadałem mojemu drogiemu przyjacielowi, Walterowi Bergamaschi, synowi przemysłowca z Werony, o tym, jakie miałem szczęście, i dałem mu jedno jabłko. Gdy zobaczył to jabłko, otworzył szeroko oczy ze zdziwienia, zjadł je całe w dwóch kęsach i objął mnie.

Znów przyszła moja kolej na pracę w nocy, a wraz z nią podwojenie cierpienia. Rację żywności dawano nam w południe i drugą przed wyjściem do fabryki, a potem aż do południa następnego dnia żadnej możliwości zjedzenia czegokolwiek – to było naprawdę okropne i nieludzkie. Mój stan fizyczny pogorszył się, nogi spuchły mi przerażająco. Także inni internowani mieli obrzęki, jedni na nogach, inni na twarzy. To wszystko bardzo mnie przygnębiało, nie wiedziałem, jak przetrwam ten kolejny straszny okres.

Niekiedy budziłem się w nocy z powodu kłuszącego głodu, z silnymi skurczami żołądka. W tych nieszczęsnych momentach, które może pojąć tylko ten, kto je przeżył, uświadamiałem sobie, jakie niszczycielskie spustoszenie może uczynić głód w ludzkim umyśle: najokropniejsze myśli, najciemniejsze przeczucia czynią cię wtedy otepiałym, niezdolnym do działania i do reagowania. Zauważyłem, że w tych momentach tak bardzo poniżającego uczucia głodu, nikt nie myślał o dobrym jedzeniu, a tym bardziej o wykwintnych potrawach, ale o różnych najdziwniejszych rzeczach, co pozwalało złagodzić te straszliwe męczarnie. Tak więc w myślach wracałem do Monticiano pod Sieną, do lat młodości, do zamieszkania przez drwali, robotników najemnych i drobnych rolników wsi. W każdej rodzinie był tam zwyczaj tuczenia świni, którą zabijano na jesieni. Zwie-

rzę karmiono głównie karmą z gotowanych jarzyn, dobrego kleiku pszenicznego i słodkiej mąki kasztanowej. Moje myśli koncentrowały się więc z uporem właśnie na tej paszy, która mogłaby mnie nasycić i zaspokoić moje absurdałne, powracające, żalosne łaknienie.

Od dłuższego już czasu znałem francuskiego robotnika cywilnego, który zajmował się transportem materiału dla Kugelfischer. Za każdym razem, gdy mnie widział, podziwiał moje górskie buty, które otrzymałem z magazynu odzieży na krótko przed naszym wymarszem z Tirany. Rankiem, 10 marca, spotkałem go na początku zmiany, a on znowu zaproponował mi wymianę jego butów na moje, i jako wyrównanie dla mnie 4 kilogramy chleba, takiego jak jedzą Niemcy. Nie mogłem dłużej opierać się kuszącej propozycji i interes został ubity. Po krótkim czasie przyniósł chleb, zdjęliśmy nasze buty i wymieniliśmy je. Jego były wysokie i lekkie, nieokreślonego koloru i bardzo znoszone. Miałem nadzieję, że nawet w tych na wpół rozdeptanych butach stopy nie przemokną, ponieważ ulice były jeszcze pokryte warstwą śniegu. Francuz zorientował się, że mój stan zdrowia jest zły, zauważył moje przygnębienie i niepewność, i wykorzystał okazję, aby doprowadzić do tej obrzydliwej wymiany.

W komandzie pracy bardzo się zmniejszyła liczba internowanych Włochów. Niektórych gdzieś przeniesiono, ale większość jako chorzy odwiedzeni zostali z powrotem do obozu głównego VIII A w Görlitz.

W międzyczasie przybyło dalszych 50 rosyjskich jeńców wojennych, którzy też zaczęli przychodzić do pracy w naszej fabryce. Między nami a Rosjanami, z którymi od miesiąca dzieliliśmy pracę i cierpienie, panował wzajemny szacunek i respekt. Mielśmy znakomite stosunki, mimo że Rosjanie byli niezbyt rozmowni, bardzo poważni i ciągle smutni, a nigdy ufni, w przeciwieństwie do nas Włochów, którzy także w strasznych sytuacjach nie załamujemy się. Rosjanie zachowywali się zarówno w obozie, jak i w fabryce absolutnie poprawnie, nie tak jak my, ciągle paplający, niezbyt przejmujący się regułami wspólnego życia. Może zostali tak ukształtowani przez wychowanie albo przez ich świat, ale sądzę, że to raczej ich wątpliwa sytuacja jako jeńców wojennych i niepewna przyszłość miały swój udział w tym, że byli tak mało... towarzyscy.

Poznałem, choć w skromnym zakresie, język niemiecki, co pozwalało mi, na ile to było możliwe, rozumieć i odpowiadać, lub też rozmawiać, kiedy była taka okazja, z innymi obcokrajowcami, którzy pracowali w fabryce, czy to z Rosjanami, Polakami, Czechami, Francuzami, Belgami,

Holandrami, Litwinami, Estończykami czy z Jugosłowianami. W tym momencie, w tym miejscu i w tych warunkach stało się dla mnie jasne, jak łatwo mogą porozumiewać się ludzie tak różnych narodowości.

Każdego wieczora, z powodu nadejścia listów i paczek żywnościowych, panował w obozie nastrój euforii. 20 marca i ja w końcu otrzymałem pierwszy list od mojej żony. Przy czytaniu ogarnęło mnie uczucie nie do opisania i łzy popłynęły obficie, a tysiące myśli kłębiło się w mojej głowie. Nie czułem się już tak samotny w tym odległym, wrogim kraju, gdzie byłem traktowany jak numer i utrzymywany przy życiu tylko dlatego, że ktoś czerpie z tego korzyść. To, że znów nawiązałem kontakt z moimi bliskimi, nie tylko przyniosło ulgę duchową, ale także dało nadzieję i odwagę, aby przeciwstawiać się zmiennym wypadkom aż do końca tej budzącej grozę przygody, którą przeżywałem. Końca, który jednak jawił się jako bardzo mglisty i niepewny. Z listu między innymi dowiedziałem się, że wysłano mi różne paczki żywnościowe. W tym momencie nie mogłem nie pomyśleć o internowanych z południowych Włoch. Ci biedacy nie mogli w ogóle nic otrzymać. To odbierało im odwagę i powodowało, że byli smutni. Nawet jeśli paczka to drobna rzecz, która pomagała uśmierzyć głód tylko na kilka dni, to jednak choć odrobinę pozwalała ona na powrót sił. Nie dostałem jeszcze wtedy żadnej paczki, ale po otrzymaniu listu wzrosła na to nadzieja.

7 kwietnia, Wielkanoc. Pierwsze Święta Wielkanocne w niewoli. W komandzie pracy życie biegło trybem dni świątecznych. Miałem możliwość obciąć włosy, które po całkowitym ogoleniu w Görlitz odrosły znów bardzo długie. Niektórzy żołnierze, może z powodu apatii lub ze zmęczenia, a może dlatego, że nie dbali o higienę, w wolne dni przez cały czas leżeli na siennikach i podnosili się tylko, aby zjeść swoją rację żywności. Jeden z mojego baraku, który tak właśnie się zachowywał, został przyłapany na uporczywym drapaniu się. Najwidoczniej zaatakowały go wszy. Ze strachu, że barak zostanie zarażony niebezpiecznymi pasożytami, wyrzuciliśmy tego, tak nisko upadłego kolegę razem z jego całym marnym dobytkiem na ulicę, stawiając warunek, że może wrócić do baraku tylko jeśli podda się radykalnemu i bardzo dokładnemu odwzseniu.

W południe wydarzyło się coś niezwykłego: z dwoma żołnierzami poszedłem do kuchni, aby odebrać pojemnik z zupą i ku mojemu zdziwieniu w pojemniku znajdowała się parująca *pastasciutta*, dosyć duże, całkiem białe *candelloni*, prawdopodobnie okraszone margaryną. Wszyscy poły-

kaliśmy chciwie niezwykłą potrawę, nawet jeśli była ona o lata świetlne odległa od naszej *pastasciutta*, przyrządzanej z aromatycznym ragout lub apetycznym sosem pomidorowym. Jednak nasz żołądek, który już odwykł od tak pożywnych potraw, zbuntował się i po kilku godzinach ślady dużych *canndelloni* były widoczne pod bocznymi i tylnymi ścianami baraków.

Kilka dni po Wielkanocy, 10 kwietnia, po powrocie z fabryki, z wielką radością odebrałem paczkę. Można sobie łatwo wyobrazić, w jakim stanie ducha się znajdowałem. Paczkę wysłał do mnie wujek z Florencji. Otworzyłem paczkę w pośpiechu, z chciwością i ciekawością, aby odkryć jej zawartość. Ku mojemu zdziwieniu znalazłem oprócz pieczywa... cztery małe puszki skondensowanego mleka. Wuj z Florencji, walczący na froncie pierwszej wojny światowej, dobrze pojął sens moich słów, wysyłając mi produkty żywnościowe, które są w najwyższym stopniu pożywne. Zamierzałem pić rano, przed wymarszem z obozu, dwie łyżki mleka, tym razem z żelaznym postanowieniem, aby nie dać się zwyciężyć głodowi.

Mleko skondensowane, z jego dającymi energię substancjami, jest naprawdę dobre na wszystko. Czułem się silniejszy, obrzęki głodowe już się nie powiększały. Jednak, aby móc je wyleczyć potrzebowałbym znacznie więcej mleka, a także inne produkty i lekarstwa. O opiece lekarskiej i medykamentach nie było mowy, i jak długo ktoś mógł powłóczyć nogami, tak długo był zdolny do pracy. Nasz stan zdrowia nie został nigdy zbadany przez lekarza.

Śnieg się stopił i ulice były czyste, ale pierwsze łagodne dni wiosny nie czyniły marszu z obozu do fabryki i z powrotem mniej męczącym. Przeciwnie, miałem uczucie, że ta piękna pora roku podkreśla jeszcze bardziej beznadziejność i zmniejsza wolę, aby iść naprzód.

Kilku internowanych naprawdę nie było w stanie maszerować, więc niemieckiemu komendantowi przyszło na myśl, żeby do transportu tych, którzy nie mogą sami iść, wykorzystać wózek z płaską platformą i bez bocznych ścian, który ciągnie się za żelazną sztangę. Przeciwno propozycji, aby tak rozwiązać ten uciążliwy problem, nie było żadnych argumentów, tylko... to my będziemy musieli ciągnąć ciężki wózek. Środek zaradczy okazał się gorszy niż sam problem. I naturalnie zawsze znalazł się jakiś spryciarz, który umiał dobrze udawać, i był transportowany w „karocy”, chociaż jego stan zdrowia w istocie nie różnił się szczególnie od pozostałych.

Wygląd naszej kolumny powracającej do obozu nie mógłby zostać lepiej zaplanowany nawet przez zdolnego reżysera: wózek z czterema lub pięcioma leżącymi na nim osobami porusza się powoli do przodu, dwóch mężczyzn zmienia się z dwoma innymi przy sztandze i wciąga go z największym wysiłkiem na wzniesienie. Za nimi podąża cała kolumna, choć nie tak liczna jak przed miesiącami, wychudzonych stworzeń z długimi zaniedbanymi brodami i włosami, zapuszczonych i ubranych w łachmany, które już od dawna nie przypominają mundurów wojskowych. Wszyscy mają zwykle miski lub zardzewiałe puszkę przytroczone w pasie, wielu ma na nogach drewniaki, ich krok jest niepewny, ciężki i głośny. Obraz ten wytrzymałby każde porównanie z armią Brancaloneone^{26/}. Często przychodziliśmy na miejsce z opóźnieniem. Po kilku takich przejazdach i gdy ich wyniki stały się widoczne, wózek, z ulgą dla większości, został odstawiony na bok.

Mleko skondensowane dawno się skończyło, ale na szczęście 5 maja przysła kolejna paczka żywnościowa. Tym razem wysłała ją moja żona. Radość i podniecenie były ogromne. Paczka zawierała to, o co bardzo prosiłem: mąkę żytnią i kasztanową. Pod tylną ścianą baraku zbudowałem mały piec kamienny, na którym wieczorem, po rozdzieleniu racji żywnościowych, gotowałem w misce dwie łyżki mąki żytniej i dla smaku dwie łyżki mąki kasztanowej. Wychodziła z tego mączna papka, bladoróżowa i trochę słodkawa, bez wątplenia żadna wykwinna potrawa, ale sądziłem, że ta mączna breja, częściowo zjadana wieczorem a częściowo rano, uczyni oczekiwanie na lepsze czasy trochę mniej ponurym.

6 czerwca był dniem jak wiele innych: praca i wysiłek w zwykłym rytmie. Liczba Włochów internowanych w obozie Antonienwald znowu się zmniejszyła. Wczesnym popołudniem, gdy byliśmy zajęci czyszczeniem tokarek, zauważyliśmy, że majstrowie i inni niemieccy pracownicy cywilni rozmawiają przyciszonym głosem. Temat nie mógł być zbyt wesoły, ale też musiało chodzić o coś bardzo ważnego. Po chwili wrócili

26/ Historyczna postać hrabiego Brancaloneone di Norcia (początek XVI stulecia) została sfilmowana w 1966 i 1970 roku przez dwóch klasyków włoskiego kina. Brancaloneone, ze swoją małą armią żebraków w łachmanach, przeżywa groteskowe przygody. Grupa przechodzi różnego rodzaju próby, aby dotrzeć „kto wie dokąd”.

poważni do swoich miejsc pracy. To znaczące i tajemnicze poszeptywanie obudziło w nas niemałą ciekawość. Wyjaśnienie otrzymaliśmy po powrocie do obozu: ogromne siły militarne aliantów wylądowały w Normandii. To jedna z wiadomości, które napawały nas optymizmem, ponieważ dawała nadzieję, że koniec wojny nie jest daleko. W naszych szeregach zapanowała wiara w lepszą przyszłość.

W fabryce miałem możliwość przejrzeć niemiecką gazetę, która prawdopodobnie została zapomniana przez jednego z mistrzów, leżała na stole, na którym znajdowały się przygotowane instrumenty do pomiaru łożysk. Gazeta donosiła o wojnie i przesadzała na temat sukcesów armii Trzeciej Rzeszy. Jednak łatwo było stworzyć sobie prawdziwy obraz sytuacji. To, co zaliczano do sukcesów, w rzeczywistości było obroną swoich pozycji na różnych frontach. Najbardziej jednak przyciągnął moją uwagę artykuł o wojnie we Włoszech. Przeczytałem o walkach w rejonie Sieny. Wiadomość ta zdumiała mnie i przeraziła. Nie mogłem pojąć, że moja spokojna ziemia rodzinna jest pustoszona ogniem i żelazem. A los moich bliskich? Czy mogli ująć cało z tragedii? Miałem taką nadzieję, ale w tym samym momencie ogarnął mnie nieopisany smutek. Stało się dla mnie jasne, że nie będę już mógł otrzymać od moich bliskich żadnej pomocy, ale w dziwny sposób dotknęło mnie to w mniejszym stopniu, przede wszystkim pragnąłem już tylko wieści, które, niestety, nigdy nie nadeszły. Wszelki kontakt został zerwany, znów byłem sam. Gdybym nie przeczytał gazety, żyłbym, by tak powiedzieć, w niewiedzy na temat wydarzeń na świecie, mniej bym cierpiał i stopniowo pogodził się z milczeniem moich bliskich.

Nadeszła pełnia lata, ale bez męczących upałów. Przeciwnie, na wzgórzu Antonienwald było dość rześko. Na Dolnym Śląsku przez większą część roku panowało zimno.

Znowu zacząłem pracować w nocy. Zostałem „specjalistą tokarzem”: byłem już w stanie samodzielnie ustawić tokarkę i naostrzyć narzędzie na szlifierce-toczku. Pewnej nocy „blondyn” powierzył mi tokarkę do automatycznego obrabiania łożysk. Po nastawieniu maszyny pokazał mi jak zacząć tę nową specjalną pracę: rowek musi zostać wytoczony tam, gdzie w łożysku obracają się rolki. Łożyska są bardzo ciężkie i wymagają znacznego nakładu sił przy nakładaniu i zdejmowaniu z walca. Dowiedziałem się, że te łożyska są wbudowywane do lokomotyw i czołgów, ale nie byłem tego pewien. Praca nad jednym łożyskiem trwała dobre osiem minut. Z wielkiego pierścienia stalowego oddzielał się spiralny, długi i świecący

wiór stalowy, który odłamywało się dopiero wtedy, gdy automatyczne urządzenie się wyłączy i łożysko jest gotowe.

Była gorąca noc lipcowa, powietrze w hali stało się bardzo ciężkie od oparów, a cisza przerywana była tylko buczeniem maszyn. Krótco po pierwszej majster znikł, aby odbyć swoją zwyczajową drzemkę w pokoju w pobliżu działu. Ja w tym czasie kontynuowałem obrabianie wielkich łożysk. Założyłem jeszcze jedno na walec, puściłem w ruch dźwignię automatycznego urządzenia i skrawek powoli się oddzielał. Ale właśnie w tym momencie zasnąłem z rękami opartymi o tokarkę, na stojąco, jak koń. Nagły hałas sprawił, że podskoczyłem. Zatrzymałem maszynę; od razu stało się dla mnie jasne, co się stało: ponieważ nie wyłączyłem procesu toczenia w odpowiednim punkcie, łożysko zostało wytoczone dalej kawałek po kawałku. Gdy narzędzie tokarki zderzyło się z walcem, rozgrzana stal uderzyła o rozgrzaną stal, powstał hałas. Oba urządzenia poniosły nienaprawialne szkody. Moi towarzysze pracy, a także dwóch obecnych w wielkiej hali Niemców, skierowali wzrok w moją stronę, ale nikt nie poruszył się ze swojego miejsca.

Tu muszę nadmienić, że istniała niepisana reguła: gdy jeden z nas odgrywał główną rolę w jakimkolwiek wydarzeniu, pozostali demonstrowali możliwie największą obojętność. Ból i troski są niepodzielne i każdy musiał myśleć o sobie. Współczucie, solidarność, litość dla bliźniego nie mają w takiej sytuacji sensu, i tak umiera, kto umiera, a ratuje się, kto się ratuje.

Moja niezręczność speszyła mnie i zaniepokoiła. W oczekiwaniu na powrót majstra wyrzuciłem pozostałą część łożyska na wózek z odrzutami, zepsute urządzenia zdemontowałem i zastąpiłem innymi, które wziąłem z magazynu. Cała operacja trwała parę godzin, i gdy „blondyn” przyszedł około czwartej, byłem jeszcze zajęty nastawianiem na nowo tokarki. Podszedł prosto do mnie, jak gdyby już o czymś się dowiedział. Sprawdził wykonanie łożysk. Gdy stwierdził, jak mało ich zrobiłem, spytał mnie o powód. „Dlaczego?” Odpowiedziałem, że maszyna się zepsuła i dlatego musiałem wymienić niedziałające części. Na to on podniósł wskazujący palec prawej ręki, domyślając się, co zaszło, i zrobił gest napomnienia i wyrzutu.

Po zakończeniu zmiany wróciłem przygnębiony do obozu. Myśląc o tym, co się wydarzyło, czułem się naprawdę szczęśliwy, że udało mi się uniknąć gorszych konsekwencji. Doszedłem do wniosku, że mam u „blon-

dyna” pewne poważanie, bo inni za podobny błąd zapłaciliby przynajmniej spoliczkowaniem, a miał on naprawdę ciężką rękę.

21 lipca „radio scarpa”^{27/} zameldowało o zamachu na Hitlera. Führer jednak wyszedł z tego bez szwanku... co za beznadzieja! Także to wydarzenie ukazało rzeczywistą sytuację Niemców: wielkie zwycięstwo coraz bardziej się oddalało. Mimo to byli oni absolutnie przekonani o tym, że już niedługo zostanie użyta potężna broń i w krótkim czasie odmieni losy wojny. Następnego ranka, po skrupulatnej kontroli liczby obecnych, ruszyliśmy do pracy. Uzbrojona straż została podwojona. W Landeshut nasza kolumna minęła inną, francuskich jeńców wojennych. Także oni byli eskortowani przez uzbrojonych żołnierzy. Ten fakt mnie zdumiał, ponieważ dotychczas Francuzi nie byli eskortowani w drodze do pracy. Wyglądało na to, że ten nieudany zamach wywarł wpływ na każdą dziedzinę życia. Sytuacja taka trwała kilka dni, potem wszystko było jak dawniej.

Z zaciętą powolnością upływały smutne dni. Wciąż oczekiwaliśmy na jakieś wydarzenia. Wieści były dobre, ale nie tak dobre, żeby można się było spodziewać szybkiego końca naszej niedoli.

Wyżywienie było takie jak zawsze, ale nie mogłem już, niestety, wzbogacić go, jak w minionym czasie. Obrzęki głodowe ani się nie powiększyły, ani nie cofnęły. Nogi miałem jeszcze spuchnięte, a gdy naciskałem palcem, powstawała budząca grozę dziura.

Sztuka improwizacji w zdobywaniu dodatkowego jedzenia wciąż była żywa, ale zdarzało się coraz mniej okazji do tego.

Pewnego dnia niemiecka kobieta dała mi wielki talerz zupy i malutką pszenną bułeczkę. Kobieta ta była zatrudniona w kuchni i często widziałem jak rozmawiała z majstrami. Pyszną bułkę połknąłem jednym kęsem. Zupa, cienka polewka z posiekanych warzyw i kilku kawałków ziemniaków, wypełniła prawie całą miskę. Kobieta ta była wdową, a jej syn był w niewoli w Rosji. Gdy dawała mi zupę i bułkę, myślała może w głębi ducha o jakiejś rosyjskiej matce, która tym samym gestem pomoże jej synowi.

Jednej niedzieli musieliśmy zająć się szczególnymi pracami porządkowymi. Od kilku bowiem dni w baraku była inwazja pcheł. Odpowiedzial-

27/ Calossi używa tu i w innych miejscach włoskiego określenia, które według jego wyjaśnień pochodzi z żargonu żołnierskiego. W ten sposób były określane pogłoski lub nie potwierdzone informacje. Odpowiada ono mniej więcej pojęciu plotki.

na za to była ciecz, która tak często przelewała się przez brzeg osławionego wiadra, i która nie tylko zalała podłogę, ale i wplynęła pod barak, gdzie to uciążliwe robactwo, które tak męczyło nas w czasie przeznaczonym na odpoczynek, z powodu ciepłego lata miało idealne warunki, aby się rozmnażać. Wrzącą wodą umyliśmy podłogę oraz przekopaliśmy ziemię pod barakiem. Pchły były tak liczne, że biała bielizna stała się nakrapiana przez pozostawione przez te pasożyty odchody. Wyprałem ją kilkakrotnie, ale już nie odzyskała dawnej bieli.

15 sierpnia przybyło do Landeshut 1200 więźniów politycznych. Mianem więźniów politycznych określało się nie tylko tych, którzy występowali przeciwko nazistowskiej ideologii, ale także tych, którzy z różnych powodów znaleźli się na pozycji sprzecznej z niemieckimi interesami. Dowiedziałem się, że wielu z tych więźniów było studentami i profesorami Uniwersytetu Warszawskiego, którzy zostali pojmani w trakcie tłumienia powstania. Wystąpili oni przeciw Niemcom, w oczekiwaniu na wkroczenie Armii Czerwonej do stolicy, wiedzeni niepowstrzymanym pragnieniem wolności. Niestety, armia rosyjska zatrzymała się naprzeciw miasta, nie ruszając dalej, co dało oddziałom Hitlera, a szczególnie SS, możliwość dokonania strasznej masakry i wzięcia do niewoli tak wielu nieszczęśników.

Mówiło się, że kilka setek tych ludzi ma przyjść do pracy w naszej fabryce. Tak też się stało. Następnego ranka, kilka minut po nas, wmaszerowała do fabryki kolumna więźniów politycznych. Obserwowałem ich, gdy kolumna została zatrzymana tuż za progiem wielkiej bramy. Każdy rząd składał się z dziesięciu mężczyzn, stali jeden blisko drugiego, prawie stykając się ze sobą, tak że tworzyli rodzaj łańcucha. Pierwszy rząd zrobił dwa kroki do przodu, kazali im odliczyć i puścić ramiona sąsiadów. Dokładnie w tym momencie dziesięciu mężczyzn w doskonałej synchronizacji pochyliło głowy i uczyniło znak krzyża, jak gdyby posłuchali nieodpartego rozkazu. Dokładnie tak samo robili więźniowie z następnych rzędów. Gest tych nieszczęśników poruszył mnie głęboko. Kazał w tym momencie pomyśleć o tym, jak wielka jest siła wiary, i jaką pociechę może ona ofiarować tym, którzy stracili wszystko, łącznie z zaufaniem do innych ludzi. Eskortowali ich żołnierze SS, uzbrojeni w pistolety maszynowe i prowadzący na smyczy kilka owczarków.

Więźniowie ci byli ubrani w długie płaszcze i spodnie w niebieskie i jasnoszare pionowe pasy. Jako nakrycie głowy mieli okrągłą czapkę bez daszka

w tych samych kolorach, na nogach – drewniaki. Na plecach płaszczka i na czapce nadrukowane były numery więźniarskie. Wielu z tych więźniów byli to ludzie bardzo młodzi, o twarzach dopiero dorastających młodzieńców. Było też kilku starszych, sądząc po wyglądzie, czterdziestoletnich lub starszych. Wielu z nich było w złym stanie fizycznym, wychudzeni, z zapadniętymi oczodołami, o trupim kolorze skóry. Można już było rozpoznać u nich oznaki śmierci.

Więźniowie zostali rozdzieleni do różnych działów fabryki, podczas gdy SS-mani trzymali straż przy wyjściu.

W moim dziale kilku z nich pracowało przy tokarkach, inni zostali przydzieleni do transportu surowców i sprzątanania. Zajęli oni miejsce Włochów i Rosjan, którym powierzono inne zadania. Do pracy przy tokarce pozostali tylko żołnierz Sartori z Vicenzy, kilku rosyjskich jeńców, starszy niemiecki robotnik i ja. Majstrowie przyuczali do pracy nowych „tokarzy”, wydawało mi się, że ich zachowanie wobec tych biedaków jest jeszcze bardziej szorstkie niż wobec nas.

Następnego ranka znów byłem świadkiem jak więźniowie polityczni wmaszerowują do fabryki. Obserwując ich bardzo uważnie dostrzegłem, że niektórzy z nich się nie przeżegnali. Potem dowiedziałem się, że wśród więźniów, w większości Polaków, którzy są żarliwymi katolikami, znajdowali się też mężczyźni innych narodowości. Z biegiem dni mogłem na przykład stwierdzić, że stan fizyczny studentów i ich profesorów był lepszy niż innych, a przyczyną tego był fakt, że znajdowali się oni w niewoli niedługo, od czasu powstania warszawskiego.

Przy tokarce przede mną pracował młody Polak, który opowiadał mi, że jego ojciec był konsulem we Włoszech, że nie wie, jaki los spotkał jego rodziców i innych członków rodziny. Odpowiedziałem mu, że ja też nic nie wiem o losie moich najbliższych. Dowiedziałem się też od niego, że życie w obozie, z powodu złego wyżywienia, nieludzkiej dyscypliny i mnóstwa szykan, na które byli narażeni, to prawdziwe piekło. Niestety, śmierć była u nich codziennym gościem.

Jeśli warunki, w których żyli więźniowie były rozpaczliwe, to nasze, z powodu ciągłego głodu, ciężkiej pracy i długiego marszu, jako codziennie musieliśmy odbyć, też nie były godne pozazdroszczenia.

„Radio scarpa” donosiło, że Niemcy są należycie bici na wszystkich frontach, a na tyłach frontu walki partyzanckie nie dają im spokoju. To naturalnie sprawiło, że odżyła nadzieja, zarówno w nas, jak w więźniach politycznych. W tym momencie zbliżył się do mnie jeden z nich, profesor

z Uniwersytetu Warszawskiego, i z ostrożnością szepnął do mnie: „brevi tempore bellum est” (wojna nie będzie trwać długo). Wymamrotałem odpowiedź, częściowo po włosku, częściowo po niemiecku, dzieląc się z nim swoim przeczuciem, że wojna jest bliska końca. Profesor zwrócił się do mnie, bo myślał, że jako Włoch muszę zrozumieć jego łacinę. Ja natomiast rozumiałem wprawdzie, co on do mnie mówi, ale nie mogłem odpowiedzieć mu w tym samym języku. Dało mi to jednak zadowolenie, nawet jeśli nie byłem w stanie porozmawiać z nim o czymś więcej.

Ponieważ z innego działu nie zostały przysłane do mojej tokarki żadne łożyska do dalszego obrabiania, zostałem wyposażony w kilof i szufłę, i wysłany za mur otaczający fabrykę. Miałem zadanie tam, gdzie kiedyś znajdował się ogród, wyczyścić i wyrównać ziemię. Może miały tam być składowane materiały. Kiedy zagrabiałem ziemię i wyrwałem chwasty, zauważyłem, że w rogu na małej grządce rośnie marchew. Ciesząc się z powodu dokonanego odkrycia, dokładnie zebrałem wszystkie marchewki i zrobiłem z nich piękną wiązanekę. Kilka z nich, po dokładnym oczyszczeniu, zjadłem łapczywie, dobrze wiedząc, jak są pożywne i bogate w witaminy. Wieczorem, gdy zjadłem już codzienny przydział żywności, znowu zjadłem kilka marchewek. Położyłem się na sienniku, a myśli moje krążyły pomiędzy wspomnieniami i przemyśleniami. Przyszedł mi na myśl mój dziadek ze strony ojca, stary człowiek, który ledwie potrafił czytać, ale był mądry i religijny. Zwykł mówić często, że opatrność nigdy nie opuści kogoś w potrzebie. Dotychczasowe przeżycia utwierdziły mnie w wierze, że to, co mówił dziadek jest prawdą. Znakiem tego jest także znalezienie przeze mnie marchewek, właśnie w jednym z tych smutnych momentów, gdy przyszłość była niepewna, a teraźniejszość nie miała nic do zaoferowania.

Pewnego dnia, gdy szlifowałem narzędzia na szlifierce, poczułem pokusę, aby włożyć w nią palec i zranić się samemu, i w ten sposób zostać zwolnionym od pracy. Na szczęście ręka nie spadła mi na koło szlifierskie, nawet jeśli byłem już pozbawiony jakiegokolwiek woli i nie uzmysławiałem sobie tego. Byłem bliski popełnienia jednego z największych głupstw, mogącego mieć nieprzewidywalne skutki, bo przecież dobrze wiedziałem, że niezdolni do pracy są odsyłani z powrotem do piekła Stalagu VIII A w Görlitz. Powrót do domu powinien być jedynym celem, i należało stale walczyć, nie poddając się nieprzemyślanym działaniom.

Rankami często byłem świadkiem przyjscia więźniów politycznych do fabryki – zawsze odbywało się to tak samo. Z każdym dniem oznaki be-

stalskiego ich traktowania stawały się bardziej wyraźne. Niektórzy z ledwością trzymali się na nogach, byli tak wychudzeni, że została już tylko skóra i kości. Ci najbardziej wyniszczeni z trudem popychali wózki załadowane wiórami i wybrakowanymi łożyskami.

Niemiecki kapo z fabryki, rudy głupek z ponurą twarzą i krzywymi nogami, stale kontrolował różne stanowiska. Nigdy nie rozmawiał z nami normalnie, tylko szczekał na nas jak pies z tego lub innego powodu. Nierzadko bił nas po twarzy. Także syn polskiego konsula musiał znieść takie „pieszczoty”, gdy źle wytoczył kilka łożysk.

Jednak ten opętaniec dał mi kromkę chleba, rzecz niesłychana i nie do pomyślenia. Najpierw chciałem spontanicznie odmówić przyjęcia chleba, ale po chwilowym namyśle przyjąłem ją z podziękowaniem. Jestem przekonany, że wykonał ten gest, bo chciał coś zamanifestować w obecności innych więźniów. Byłem zażenowany. Potem wziąłem tę kromkę chleba, zawinałem w papier i położyłem na stercie poukładanych łożysk w nadziei, że ktoś ją weźmie. Ani nie zjadłem jej sam, ani nie mogłem jej podzielić pomiędzy zbyt wielu wygłodzonych ludzi.

31 sierpnia. Gdy przyszlśmy na miejsce pracy naszego komanda, zostaliśmy poinformowani, że wszystkim deportowanym włoskim żołnierzom w Niemczech, zgodnie z układem zawartym między Hitlerem i Mussolinim, nadano status wolnych robotników. Nikt nic o tym nie wiedział, ani nie był pytany o zgodę. Faktycznie, byliśmy przedmiotami, które można dowolnie traktować i przestawiać. Wiadomość zdumiała mnie i zaniepokoiła; czy zmiana statusu będzie miała konsekwencje? Status – patrząc od strony prawnej – internowanych, a faktycznie więźniów, ale wciąż jednak żołnierzy, nie miał dotąd żadnego wpływu na naszą sytuację.

Postanowienia Konwencji Genewskiej o traktowaniu jeńców wojennych nie stanowiły dla nas ochrony i nie mogliśmy się na nią powołać, ponieważ pozycja prawna internowanego wojskowego była pomijana we wszystkich międzynarodowych konwencjach. Gdy minęło początkowe zaskoczenie i przemyśleliśmy naszą sytuację, większość była jednak zadowolona ze zmiany, gdyż, jak mówiono, łatwiej będzie się „urządzić” i w inny sposób podejść do nadchodzących dni. Ze swojej strony uważałem to rozporządzenie, nawet jeśli podzielałem nadzieje tak wielu, za nadużycie i bezprawie: byłem żołnierzem i tak chciałem być traktowany, przynajmniej jak długo inne ustalenia prawne, wydane przez autorytet prawny, nie rozporządzą inaczej. My wszyscy odmówiliśmy uznania *Repubblica*

Sociale Italiana i zapłaciliśmy za to. I wciąż jeszcze płaciliśmy bardzo drogo za naszą decyzję, dlatego ta umowa pomiędzy dwoma dyktatorami musiała być pojmwana jako samowola. Sądziłyśmy, że w praktyce będzie to miało z pewnością jakieś zalety: nie będziemy więcej zamknięci w barakach jak świnie w chlewie, nie będziemy już pod strażą.

Następnego ranka zostaliśmy obudzeni o zwykłej porze i „odprowadzeni” przez nieuzbrojonych żołnierzy do fabryki. Cuchnący nocny kani-ster został wyrzucony. Poza tym wszystko pozostało bez zmian: zwykła racja żywności, normalna praca.

W niedzielę rano oddawaliśmy się powinnościom higienicznym. Po południu wyszliśmy z obozu, aby pospacerować bez celu wśród pól. Zanim jednak komendant rozkazał otworzyć bramę i pozwolił nam na tę „przyjemność”, ostrzegł nas, abyśmy nie popełnili czynu sprzecznego z przepisami, bo możemy, mimo naszego nowego statusu, znaleźć miejsce wśród więźniów w długich pasiastych płaszczach.

To było przyjemne uczucie, chodzić wolno, decydując sam o sobie, już nie w szeregu i bez towarzystwa strażników. Przed powrotem, tak jak i moi koledzy, nabierałem ziemiaków, ostrożnie i tak sprytnie, żeby rolnicy nic nie spostrzegli. Niemiecki podoficer grzecznie nas upomniał, ale to nie mogło powstrzymać nas od „kradzieży”, głód był silniejszy, a warunki dogodne. Z pewnością, w przyszłości powinniśmy być ostrożniejsi i nie dać się zwieść pokusom, jakie się przed nami pojawiają.

1 września zginął w wypadku przy pracy strażnik celny Francesco Pettrillo z Livorno. Nie dowiedziałem się jednak w jakich okolicznościach doszło do nieszczęścia. To był wspaniały młody człowiek, którego znałem od długiego czasu. Jego śmierć głęboko mnie zasmuciła.

15 września zostałem wraz z 20 kolegami z Kugelfischer, to znaczy z wszystkimi pozostałymi jeszcze internowanymi, którzy pracowali w tej fabryce, przeniesiony z komanda pracy Antonienwald do miasta Landes-hut. Zostaliśmy zakwaterowani na parterze starego domu w centrum miejscowości. W pomieszczeniu tym znajdowały się dwa rzędy drewnianych łóżek, na każdym był zwykły siennik i koc. Obok wejścia stał ogromny piec kaflowy. Pożywienie nadal przynoszono nam z obozu.

Przeprowadzka zaoszczędziła nam trudów marszu dwa razy dziennie, który tak źle wpływał na nasze zdrowie. Teraz mieliśmy więcej czasu na odpoczynek. Kazano nam nie opuszczać sali sypialnej po godzinie 21, ale i tak wieczorem byliśmy tak zmęczeni, że nikt nie myślał o pójściu na spacer w tym krótkim czasie przeznaczonym na odpoczynek.

Czasami pilnowani byliśmy przez starszego mężczyznę z Volkssturmu, który miał na ramieniu czerwoną opaskę ze swastyką.

Po pewnym czasie zwiedziłem centrum miasteczka. Przy głównym placu, gdzie znajdował się ratusz, zbiegały się liczne, dość wąskie uliczki. Domy mieszkalne przy placu i wzdłuż ulic były zbudowane w klasycznym środkowoeuropejskim stylu, z bardzo stromymi dachami.

Landeshut leży w sercu Karkonoszy, w północno-wschodniej części Sudetów. Zimowy klimat jest tam bardzo surowy. Przed wojną rozkwitał tu przemysł tekstylny, podczas gdy w czasie wojny różne fabryki, otaczające miasto, przestawiono na produkcję zbrojeniową. W całości miasto sprawiało wrażenie dość przygnębiające, a nocą przy całkowitym zaciemnieniu nawet ponure.

Z biegiem dni nasz stan fizyczny trochę się polepszył: różne drobne ulepszenia i dłuższy czas odpoczynku spowodowały zniknięcie opuchlizny na nogach. Znów też – przynajmniej trochę – nabrałem sił.

Nadeszła późna jesień i robiło się coraz zimniej. Wiadomości z frontu były dobre, ale byliśmy trochę rozczarowani, ponieważ na podstawie wydarzeń zeszłego lata oczekiwaliśmy o wiele więcej.

Razem ze starym niemieckim robotnikiem (nieliczni niemieccy pracownicy, którzy pracowali w fabryce, byli bez wyjątku starzy i wymizеровani, oprócz majstrów, którzy – może z powodu ich specjalnych umiejętności – zostali zwolnieni ze służby wojskowej) i dwoma kolegami zostałem wysłany na zewnątrz, aby układać półfabrykaty łożysk, które wywieziono z sąsiedniej odlewni. Ten Niemiec, który sam już ledwo zipał, był drażliwy i nie przepuścił żadnej okazji, aby nas prowokować i obrażać. Miał uprzedzenia wobec nas, Włochów, i nie okazywał żadnego szacunku. Podczas pracy zaczął krzyżeć, może dlatego, że nie ułożyłem łożysk w wymagany przez niego sposób. Wymierzył mi cios, krzyżąc: „Wszyscy Włosi to Cyganie”. Nie mogłem się opanować i oddałem cios, on padł na ziemię, prosto na stos łożysk. Podniósł się groźnie, ale nic więcej nie zrobił. Natychmiast pożałowałem, że zareagowałem w ten sposób, bo uderzyłem słabego i o wiele starszego ode mnie człowieka, nie wziąłem też pod uwagę mojego statusu wyjętego spod prawa i możliwych tego konsekwencji.

Pracowaliśmy dalej do wieczora. Na koniec zmiany pozdrowiłem Niemca i dałem mu do zrozumienia, że żałuję tego wydarzenia. On nie odpowiedział na moje pozdrowienie, ale zrobił taki gest ręką, jakby chciał na tym poprzestać. Nie powiedział też nic o tym wydarzeniu dyrekcji fabryki.

Coraz częściej się zdarzało, że nie pracowałem na tokarce, ale byłem przydzielany do innych prac, tam, gdzie głównie pracowali więźniowie polityczni. Po skończeniu układania półfabrykatów do łożysk, transportowaliśmy, wraz z moim towarzyszem z Vicenzy i czterema więźniami politycznymi, sztangi żelaza z placu do odlewni. Dzień był lodowato zimny. Pchanie wagonu z żelazem wymagało wielkiego wysiłku. Więźniów nadzorował SS-man. Jeden z tych więźniów był w budzącym grozę stanie – miał głęboko zapadnięte oczy, był wychudzony do samych kości i nie mógł utrzymać się na nogach. Bardziej niż pchał wózek, uczeplił się go i dał się ciągnąć. SS-man zauważył to, nie pozwolił mu jednak usiąść z boku. Kazał mu natomiast siąść na przedzie wózka, może po to, aby nie oddzielać go od innych i w ten sposób ułatwić sobie pełnienie straży. Więźniowie mieli na sobie uniformy z cienkiego materiału, które nosili zarówno wewnątrz baraków, jak i w miejscu pracy, a które wcale nie chroniły ich przed wielkim zimnem. Gdy my załadowywaliśmy żelazo na placu, biedak ten skulił się w sobie, wstrząsały nim silne dreszcze. Kiedy wózek wtaczał się do odlewni, on znajdował się dość blisko drzwi pieca i z powodu żaru musiał się odwracać. Ta męka trwała cały dzień.

O osiemnastej, pod koniec zmiany, nieszczęśliwiec był chwytny pod ramiona przez kolegów i wleczony najpierw na plac zbiorczy, a potem do obozu. Następnego dnia dopytywałem się o jego stan i powiedziano mi, że zmarł w nocy.

Po kolacji, siedząc w sypialni rozmawialiśmy o tym, co wkrótce może się wydarzyć. Rozmawialiśmy o różnych problemach, ale szczególnie o smutnych minionych dniach i obecnej sytuacji. Nie wiedzieliśmy co przyniesie przyszłość i snuliśmy najbardziej nieprawdopodobne przypuszczenia. Mówiliśmy też jak to po powrocie do domów zamierzamy wszyscy urządzić wielkie uczyty z najróżniejszymi potrawami, nastąpi wtedy pewnie mnóstwo rozstrojów żołądka.

Stare przysłowie mówi: co w sercu, to i na języku. Razem z nami był Bruno Bonomi, żołnierz z Wenecji, bardzo towarzyski, dobrze wychowany człowiek, grzeczny wobec wszystkich, bardzo usłużny, o dobrym charakterze. Krótko mówiąc taki, którego nazywa się porządnym młodym człowiekiem. Razem z niemieckim kierowcą zajmował się on od wielu miesięcy transportem towarów i różnych materiałów dla firmy Kugelfischer. Nazywał kierowcę swoim „majstrem” i mówił o nim z sympatią,

prawie z przywiązaniem. Niemiec zostawiał mu czasem coś do jedzenia, dlatego jego stan był lepszy niż nasz.

Pewnego wieczoru wrócił smutny i zamyślony do sali sypialnej i opowiedział nam o wstrząsającym wydarzeniu: z niemieckim kierowcą pojechał do obozu więźniów politycznych, gdzie załadowano na ciężarówkę ciała dziesięciu mężczyzn. Żalose, wychudzone jak szkielety szczątki doczesne tych ludzi były zupełnie nagie, a na szyi wisiała tylko część plakietki z numerem. Na ciężarówce zajęli miejsce żołnierze SS i dwóch „żywych” więźniów. Pojazd pojechał do miejsca oddalonego o parę kilometrów od Landeshut, gdzie znajdował się zbiorowy grób przeznaczony do pochowania tych zmarłych. Samochód podjechał do skraju tego grobu, dwóch więźniów chwyciło ciała swoich towarzyszy za ręce i nogi, kołysało kilka razy w powietrzu, aby nabrać rozmachu i rzucało z góry do grobu. W locie z samochodu do dołu członki ciał wykonywały najdziwniejsze gesty, jak gdyby jeszcze tliło się w nich życie. Przy uderzeniu o ziemię powstawał głęboki głuchy ton, podczas gdy czaszki, najcięższe części ciała, przy zderzeniu z kamieniem lub inną czaszką wydawały krótki twardy dźwięk. Wydawało się, jak gdyby ci dwaj więźniowie odczuwali przy oglądaniu dziwnych poruszeń trupów ogromną przyjemność, bo chwycił ich niepowstrzymany śmiech. Na biedne szczątki doczesne zarzucono warstwę wapna, a potem przykryto odrobiną ziemi. Wcześniej zmarli więźniowie byli transportowani innym samochodem do innego miejsca, ale śnieg uczynił drogi nieprzejezdnymi.

Opowiadanie to przeraziło nas wszystkich. Położyłem się na sienniku, nie mogłem zasnąć i myślałem: jak to w ogóle jest możliwe, że ludzie osiągnęli taki poziom zblądzenia, że w tak zwanym cywilizowanym kraju mogą się wydarzać takie niegodziwości? Czy to w ogóle możliwe, że w kraju wielkich filozofów, poetów, geniuszy muzycznych i naukowców mogą się dziać takie zbrodnie? Naprawdę nie wiedziałem, co o tym powinienem myśleć; czy dwa tysiące lat chrześcijaństwa, głoszenia miłosierdzia, pokoju, przebaczenia i zbawienia niczego nie nauczyły? Pewne jest, że człowiek zniżył się do poziomu najgorszych bestii i zachowuje tak jak one, gdy pogardza elementarnymi wartościami moralnymi, gdy już nie zna granicy, gdy stracił wszelką godność i w racjonalnie zaplanowany sposób popełnia takie czyny. Z tymi myślami, pełen głębokiego smutku w sercu, zasnąłem.

Niemka, którą znałem od pierwszych miesięcy niewoli, zaprosiła mnie do domu. Byłem niezdecydowany, czy powinienem przyjąć zaproszenie, czy też nie. Myślałem sobie: może chce zaproponować mi coś do jedzenia. Czemu miałbym przepuścić taką dobrą okazję? W końcu ustaliłem czas wizyty na godzinę dziewiątą tego samego wieczora. Była to kobieta po czterdziestce, wysoka, z gładkimi brązowymi włosami, mało kobiecą twarzą, wystającymi kośćmi policzkowymi, krótko mówiąc: dość brzydka. Pracowała w biurach fabryki, które należą do mojego działu i często widywałem ją z dokumentami w ręku, jak rozmawiała z majstrami. Pewnego dnia, gdy „blondyn” kontrolował obrobione przeze mnie łożyska, podeszła do mnie i spytała, czy jestem Włochem. Potem wiele razy spotykałem ją w fabryce i zawsze serdecznie mnie pozdrawiała. Jednak wcześniej niczego mi nie ofiarowała, nawet kawałka chleba.

Wyszykowałem się najlepiej jak to możliwe, i około godziny 20.30 wyruszyłem w drogę do domu Niemki, który leżał na uboczu, w pobliżu odlewni, oddalony około 1,5 kilometra od naszej noclegowni. Noc była bardzo zimna i ciemna, tylko biały kolor śniegu pozwalał mi rozpoznać ulicę. Nie niepokoiłem się z powodu mojej nieobecności w sali sypialnej – strażę kontrolowały nas dość rzadko. A jeśli już to tylko zaglądali do środka ukradkiem, nie kazali obecnym odliczać, i znów znikali.

Dotarłem do domu i kobieta uprzejmie mnie przywitała. Budynek był dosyć duży, ale do niej należało tylko jedno pomieszczenie, w którym znajdowało się łóżko i mały stolik nocny z rzeczami osobistymi oraz zdjęciem żołnierza. Przy ścianie wieszak na ubrania, różne półki, na środku stół i cztery krzesła. Bezpośrednio przy ścianie, naprzeciw łóżka, znajdował się piecyk węglowy, w kącie na podłodze w pobliżu okna kuszący stos czerwonych jabłek. Poprosiła mnie, żebym usiadł przy stole i sama też usiadła, ale nic mi nie zaproponowała. Spytała mnie z jakiego miasta pochodzę, odpowiedziałem: ze Sieny. Ale ona nie знаła tego miasta. Na to powiedziałem – Florencja, a na jej twarzy pojawił się wyraz podziwu. Pytała mnie o moją rodzinę, chwaliła mój wygląd i moją osobę. Opowiadała następnie, że sama pochodzi z Bawarii i znalazła się na Dolnym Śląsku z powodu przeniesienia zakładów Kugelfischer. Bardzo tęskni za domem, jest mężatką, ale nie ma dzieci, jej mąż, żołnierz Wehrmachtu, który walczył na wielu frontach, znajduje się w Genui. Zrobiła pauzę. Potem zaczęła znowu i powiedziała, że oprócz męża nie znała żadnego mężczyzny. W międzyczasie podeszła, siadła obok mnie i objęła mnie w pasie. A więc zupełnie coś innego, niż dobra okazja, żeby coś przekąsić! Odsu-

nałem się i dałem jej do zrozumienia, że z powodu różnych względów nie mogę spełnić jej życzenia. Trochę się zmieszala, ale dodałem natychmiast, że moje zachowanie nie odnosi się do niej jako do kobiety – co było kłamstwem – że w innych okolicznościach ucieszyłbym się, gdybym mógł spędzić kilka godzin w jej towarzystwie. Wstałem z krzesła, wziąłem jabłko, ona też wzięła jedno i jedliśmy je razem kęs po kęsie. „Świąteczny posiłek” był skończony, a tematy wyczerpane. Gdy już zamierzałem się pożegnać, ona napełniła mi kieszenie jabłkami.

Ledwo wyszedłem na ulicę, rozpętała się burza śnieżna, tak że z trudem mogłem odnaleźć drogę powrotną: od Karkonoszy ciągnął lodowaty wiatr, który zacinał w twarz, mogło być kilka stopni poniżej zera. Dotarłem do sypialni na wół zamarznięty, moi towarzysze byli już trochę zaniepokojeni moją długą nieobecnością. Dałem każdemu po jabłku i siadłem przy wielkim piecu, aby się trochę ogrzać. Potem wyciągnąłem się na sienniku. Przed zaśnięciem myślałem o tej niemieckiej kobiecie. Z pewnością, myślałem sobie, jako włoski mężczyzna nie zrobiłem dobrego wrażenia. Pominąwszy mój brak ochoty i niezachęcający wygląd kobiety, znajdowałem się w bardzo złym stanie duchowym i fizycznym, a do tego puchlina wodna nie tylko sprawiła, że spuchły mi nogi, ale też ograniczyła moje męskie zalety.

Podczas rozmowy z kolegami na ten temat odkryłem, że także oni cierpieli z powodu tego poniżającego i dziwnego stanu.

Ten dobry żołnierz, pochodzący z Wenecji, który opowiedział nam o zbiorowym grobie więźniów politycznych, został ciężko ranny. Przy jednym z tych strasznych transportów samochód utknął w lodzie i śniegu. Z ogromnym wysiłkiem naszemu przyjacielowi udało się uwolnić koła. Gdy kierowca zapalił motor, samochód zrobił raptowny skok, przejechał naszego przyjaciela i zmiażdżył mu prawą nogę. Kierowca kontynuował jazdę, i po wyładowaniu „towaru” w masowym grobie, zawiózł żołnierza do szpitala w Landeshut. Odwiedziliśmy go, nie robił dobrego wrażenia: gorączka, spuchnięta noga była zabandażowana, a nie zagipsowana.

Po kilku dniach znów przyszliśmy do szpitala, aby go odwiedzić. Został przeniesiony do zamkniętego pokoju i odizolowany. Nam nie pozwolono wejść. Rozmawialiśmy z nim przez drzwi. Słysząc już było po jego głosie, że był bardzo chory, nawet jeśli jego brzmienie było jeszcze dobre. Wołał nas jednego po drugim po nazwisku. Pozdrawialiśmy go, a on prosił nas, żebyśmy częściej go odwiedzali. Słyszeliśmy jak gwałtownie szło-

chał. Biedny przyjaciel! Skoro go odizolowali i zabraniali nam się z nim widzieć, znaczyło to, że jego stan jest naprawdę beznadziejny.

10 grudnia zmarł z powodu gangreny. Niemiecki tłumacz poinformował nas, że nasz towarzysz zostanie pochowany na cmentarzu w Landeshut. Pozwolono nam wziąć udział w pogrzebie. Cmentarz, poza miastem, na zboczach wzgórza, był przykryty śniegiem. Widać było tylko ciemną górę usypanej ziemi. Szczątki doczesne naszego przyjaciela spoczywały w dość dobrej trumnie, złożonej na brzegu grobu. Niemiecki ksiądz odmówił modlitwę za zmarłych, a potem, ku naszemu zdziwieniu, również tłumacz powiedział kilka, odpowiednich do sytuacji, słów. Każdy wrzucił garść ziemi na opuszczoną do grobu trumnę. Niemiecki kierowca, który także uczestniczył w ceremonii pogrzebowej, nie mógł powstrzymać łez. On naprawdę chciał jak najlepiej dla naszego nieszczęsnego przyjaciela. Głęboko przygnębieni wróciliśmy do fabryki, nasze morale spadło do najniższego poziomu. Po drodze myślałem o innych nieżyjących już internowanych żołnierzach. Nikt nigdy nie powiedział nam, gdzie zostali pochowani.

Dzień po pogrzebie naszego dobrego przyjaciela, Włosi, którzy zostali w komandzie pracy w Antonienwald, zostali przeniesieni. Wielu, jak mi powiedziano, do Wrocławia. Od tego czasu zupę i chleb przynoszono nam z kuchni fabrycznej. Zupa ta była niespecjalnie smaczna, ale też nie gorsza niż wcześniej, o ile w ogóle była ona trochę gęstsza, to tylko dlatego, że była to zupa, której nie zjedli Niemcy.

Znów przyszło Boże Narodzenie, drugie święta Bożego Narodzenia w niewoli. Wierzyłem, że te święta będę mógł spędzić w domu z moimi najbliższymi. Rozwój działań wojennych obudził w nas tę nadzieję. Niestety, wszystkie przepowiednie, wszystkie ufne oczekiwania zawiodły.

O godzinie 11 poszedłem, z prawie wszystkimi towarzyszami, do kościoła w pobliżu naszej noclegowni, aby wziąć udział w mszy świętej. Kościół był pełny, do ostatniego miejsca, głównie były to kobiety, starzy mężczyźni i dzieci w odświętnych ubraniach. My natomiast mieliśmy na sobie nasze brudne, wygniecione płaszcze, które na szczęście zasłaniały jeszcze bardziej brudne kurtki, które od dłuższego czasu służyły nam też za poduszki. W porównaniu z niemieckimi cywilami wyglądaliśmy jak włóczędzy z najbiedniejszych przedmieść miasta. Wstyd mi było, że tak źle wyglądam, i dlatego odsunąłem się po kryjomu w półcień kamiennej kolumny. Stary proboszcz odprawiał mszę po łacinie. Poruszające te prze-

życia przeniosły mnie w myślach do kościoła w mojej rodzinnej miejscowości. Szczęśliwe dni Bożego Narodzenia z tamtych czasów wydawały mi się tak potwornie odległe. Po południu niezwykle wydarzenie – wolno nam było zjeść w kantynie dla Niemców: talerz gotowanych ziemniaków w mundurkach, talerz sosu, który wyglądał na ragout, plaster gotowanego mięsa, przyrządzonego w nieznanym mi sposób. Jako deser słodka sałatka, jabłko, a do tego jakiś obrzydliwie różowy, słodki napój.

Obrane, pokrojone na plasterki ziemniaki zjedliśmy chciwie z sosem. Miały dobry smak, także mięso było dobre. Osłodzoną sałatkę zjedliśmy, ale jej smak nie zachwyił nas. Resztę dnia spędziliśmy w naszej sypialni, trochę podniesieni na duchu i pełni nadziei. Było nam tam dość dobrze, sala dobrze ogrzewana przez wielki piec i nigdy nie brakowało węgla. Zresztą do baraków w Antonienwald też przywożono więcej niż wystarczającą ilość węgla. Być może położenie Landeshut w pobliżu znaczących kopalni tłumaczyło takie regularne zaopatrzenie w węgiel. Gdybyśmy musieli znosić surowe zimy Dolnego Śląska w innych warunkach, przeżycie stałoby się z pewnością dla wielu dużo trudniejsze.

Kolejny tydzień nocnej zmiany. Tym razem „blondyn” zrobił mi niespodziankę: nie kazał mi pracować przy tokarce, gdzie od miesięcy harowałem i cierpiałem, lecz przydzielił mi zadanie kontrolowania i przeliczania łożysk wyprodukowanych na tokarkach przez więźniów politycznych. Była to łatwa, niespecjalnie męcząca praca. Przy ośmiu tokarkach pracowało dwóch rosyjskich i sześciu polskich więźniów. Za każdym razem, gdy się do któregoś zbliżałem, musiałem odpowiedzieć na wiele pytań, szczególnie co do przebiegu wojny i kiedy ona się skończy. Głównie Polacy pytali, co robią Amerykanie, czy zbliżają się do Niemiec. Wydawało się, że nie cieszą się z tego, że też Rosjanie postępują naprzód. Wrażenie takie miałem już i przy innych okazjach.

Więźniowie okazywali mi naprawdę wiele sympatii, nawet jeśli mogłem przekazać im tylko kilka słów pociechy i dodać odwagi. Jeden z tych biedaków – bardzo młody, wysoki, strasznie chudy, o twarzy koloru popiołu – pracował z widoczną męką, pochylony nad tokarką. Gdy majster po godzinie pierwszej poszedł spać, zająłem miejsce tego młodego Rosjanina i zabrałem się zamiast niego za toczenie łożysk. Pozwoliłem mu usiąść obok siebie. W tym czasie opowiadał mi, że urodził się 22 lata temu na Ukrainie, jako syn chłopskiej rodziny, ale został wychowany w państwo-

wym internacie i nie pamięta rodziców, o których niczego więcej się nie dowiedział. Pokazał mi wytatuowany na przedramieniu numer^{28/}. Jako żołnierz Armii Czerwonej walczył przeciwko Niemcom i został wzięty do niewoli podczas wielkiej bitwy nad Dnieprem. Potem został posłany do śląskich kopalni. Ponieważ pewnego ranka czuł się źle i odmówił pracy, został przeniesiony jako więzień polityczny do obozu koncentracyjnego. Stale się rozglądał, obawiał się, aby nie zostać przyłapanym na tym, że nie pracuje: uspokoiłem go, mówiąc, że o tej porze nigdy nie ma kontroli. Kiedy kazałem mu znów podjąć pracę, podniósł się i zbliżył do mnie, jakby chciał mnie uściskać, ale zrezygnował. Obiema rękami mocno ucisnął moją dłoń. Dzięki mojemu doświadczeniu zrobiłem w półtorej godziny więcej łożysk, niż on przez pół nocy. Powiedziałem mu, żeby pracował powoli, ponieważ już prawie osiągnął normę produkcyjną.

W następne noce pomagałem o tej samej godzinie innym więźniom w moim rzędzie, co pozwoliło im trochę odpocząć. Także na polskich studentach widać już było to nieludzkie cierpienie, jakie musieli znosić, i moja skromna pomoc przyjmowana była przez nich z radością. Okazywali mi to bardzo otwarcie.

Drugi rosyjski więzień, brunet z okrągłą, oliwkową twarzą, niewysoki i dobrze zbudowany, też mający niewiele więcej niż dwadzieścia lat, i już jeniec wojenny, chyba trochę lepiej znosił to piekło.

Najmłodszy z polskich studentów, młodzieniec o przeraźliwie bladej twarzy, cierpiał bardziej niż inni. Próbowiałem dodać mu odwagi, mówiąc, że bliski już jest koniec męczarni. Przyznawał mi rację, ale dodawał, że piec krematoryjny jeszcze działa^{29/}. To prawda!

Byłem zadowolony, prawie radosny, że ja, nieszczęśnik, mogłem tym biednym ludziom, którzy byli jeszcze bardziej nieszczęśliwi niż ja, trochę ulżyć. Zauważyłem, że żywe są we mnie jeszcze uczucia, które odróżniają człowieka od dzikiego zwierzęcia.

28/ Przy rejestracji w KL Auschwitz więźniom tatuowano numer więźniarski na lewym przedramieniu.

29/ W KL Gross-Rosen było najpierw tzw. krematorium polowe, małe, przenośne urządzenie, opalane olejem. Pod koniec 1942 r. zostało wybudowane murowane krematorium stałe. I. Sprenger, *Gross-Rosen. Ein Konzentrationslager in Schlesien*, Köln 1996, s. 104.

Nadszedł rok 1945, zaczął się kolejny rok wojny. Kiedy jednak skończą się masakry i zniszczenia? Nadchodzące informacje o wydarzeniach na frontach napawały nas nadzieją. Niemcy, fanatyczni i twardzi, ponosili porażkę za porażką, ale się nie poddawali, uparcie stawiali opór. A my, niezliczone miliony cudzoziemców, przyczynialiśmy się, paradoksalnie, wbrew naszej woli, do tego bezsensownego oporu. Tylko u niektórych cywilów dostrzegłem oznaki rezygnacji i obaw co przyniesie przyszłość. Dla innych walka jakby dopiero miała się zaczynać, oni wierzyli jeszcze ślepo w użycie potężnej tajnej broni, obiecanej przez Führera. Nie chcieli sobie uświadomić, że wojna zapukała do wrót „świętej ziemi Wielkiej Rzeszy”.

W niedzielne popołudnie po Nowym Roku poszedłem z trzema przyjaciółmi, dla rozrywki i z ciekawości, do publicznego lokalu. Ledwo weszliśmy, jakiś opętaniec zaczął nas wyzywać, i wrzeszcząc „raus” wyrzucił nas siłą jak psy na ulicę. Pomyśleliśmy, że obcym wzbroniony jest wstęp do tego lokalu. Ale gdy my dyskutowaliśmy o zajściu, żwawy i swobodnie się zachowujący starszy mężczyzna, który obserwował wydarzenie, powiedział nam, że wyrzucono nas dlatego, iż wchodząc nie pozdrowiliśmy obecnych okrzykiem „Heil Hitler”. Nigdy taki pomysł nie przyszedłby nam do głowy! Mężczyzna ten uważał, że mogliśmy uniknąć faszystowskiego pozdrowienia, wołając „Zwei Liter” (dwa litry), a przy naszej niedokładnej wymowie niemieckiego nikt by nic nie zauważył. Było jasne, że człowiek ten nie miał zbyt wielkiej sympatii dla Führera.

Zaczęły krążyć wieści, że Niemcy próbują budować w rejonie Landeshut stanowiska obronne, ponieważ od strony Polski szybko się zbliżała armia rosyjska. I rzeczywiście, my, Włosi, i inni cudzoziemcy, którzy pracowali w Kugelfischer (w mniejszym stopniu rosyjscy jeńcy wojenni i więźniowie polityczni), zostaliśmy pewnego ranka, około godziny 9, zaprowadzeni do dużego budynku magazynów na skraju miasta. Było tam już bardzo wielu innych cudzoziemców, mężczyzn i kobiet. Każdemu wręczany był kilof albo szufla. Byli też starsi mężczyźni z Volkssturmu, z czerwonymi opaskami i swastykami. Mówiono, że mamy kopać rowy strzeleckie na zboczach gór, które od wschodu okalają dolinę, w której leży Landeshut.

Po utworzeniu długiej kolumny, ruszyliśmy w kierunku wyznaczonego miejsca. Tak „uzbrojeni” wyglądaliśmy jak masa wieśniaków zajmujących cudze pola w jakimś filmie dokumentalnym. Dzień był bardzo zimny, przez niskie czarne chmury tylko od czasu do czasu przebijało się

blade słońce. Zanim opuściłem fabrykę, założyłem kurtkę na cienki uniform. Około południa doszliśmy na grzbiet wzgórza. Utworzono różne grupy, każda pod komendą Niemca. Do mojej grupy należało trzech Włochów i dwie młode ukraińskie kobiety uzbrojone w szufle. Ukrainki, niskie i dobrze odżywione, ubrane były w watowane kubraki, spódnice z surowego płótna, sięgające do łydek, wełniane pończochy i drewniane buty. Głowy i szyje miały okryte szalami tak, że widać im było tylko oczy.

Niemiec polecił nam wykopać dół strzelecki o długości, szerokości i głębokości jednego metra. W tym dole strzeleckim we właściwym czasie zajmie posterunek żołnierz z panzerfaustem. My, Włosi, mieliśmy pracować kilofem, a Ukrainki miały odgarniać ziemię. Miejsce wybrane na dół strzelecki znajdowało się na płaskowyżu, grubo przykrytym śniegiem i lodem. Obok była duża skała.

Wiał lodowaty wiatr ze wschodu i szalała śnieżycą. Z minuty na minutę wiatr stawał się silniejszy, rozpętała się burza śnieżna; było tak zimno, że praca w takich warunkach stała się niemożliwa. Niemiec, sam ukrywając się pod osłoną skały, zaganiał nas do pracy. Ruszamy się jednak nie po to, aby wypełnić jego rozkaz, lecz żeby się rozgrzać. Odzież bowiem, którą mieliśmy na sobie – szarozielona kurtka, spodnie z niebieskiego płótna i dziurawe buty oraz brak rękawiczek – też nie była odpowiednia, aby ochronić nas przed tym piekłem. Na szczęście miałem czapkę z klapkami na uszy, którą zrobiłem z kawałków koca. Co parę minut uderzaliśmy kilofami kilka razy w lód i natychmiast, razem z dwiema młodymi Ukrainkami, dla których nie było pracy, chroniliśmy się pod osłonę skały. Włosy w brodzie wokół ust zamieniły się nam w białe lodowe sople.

Było wprawdzie wyjątkowo zimno, ale sucho, dlatego być może udało się unikać odmrożeń. W albańskich górach, na granicy z Czarnogórą, dochodziło do wielu wypadków odmrożeń stóp. Zimno nie było tam tak silne, ale było o wiele wilgotniej. Tutaj ryzykowaliśmy odmrożenia, jeśli nie ruszilibyśmy się, więc co chwilę uderzaliśmy kilofami parę razy w lód, zupełnie bez sensu. Gdy zaczynało zmierzchać, Niemiec, widząc, że niemożliwe już było wykopanie dołu strzeleckiego – lód został porysowany, ale ani garść ziemi nie została wykopana – kazał nam odmaszerować z powrotem.

Schodziliśmy, zapadając się w śniegu, w dół po zboczu wzgórza. W dolinie wiatr już nie był taki porywisty, a śnieg padał gęstymi płatkami. Gdy doszliśmy do fabryki, robiło się już ciemno. Niemiec i młode Ukrainki zajęły się swoimi sprawami. My oddaliśmy kilofy i pobiegliśmy do kanty-

ny: wielki mróz kazał nam zapomnieć o głodzie, po powrocie odczuwaliśmy go ze zdwojoną siłą. Prawie od 24 godzin nie mieliśmy nic w ustach.

Niemka, której syn znajdował się w rosyjskiej niewoli, napełniała nasze miski gęstą, osłodzoną sacharyną, białawą zupą z posiekanego, ugotowanego, jak mi się wydawało, na wodzie i mleku zboża. Ona też wydawała przysługującą nam porcję chleba i dwie łyżki marmolady. Zjadłem zupełnie błyskawicznie i spytałem Niemkę, czy będzie dokładka. Ona pokazując kanister powiedziała, że mogę sobie wziąć ile chcę. Napełniłem na nowo miskę i opróżniłem ją szybko. Potem kolej na chleb i marmoladę. Ciężko panujące w pomieszczeniu spowodowało, że nie odczuwałem już skutków przemarznięcia, reakcja była nawet tak silna, że zrobiło mi się gorąco. Syty, ale wyczerpany, marząc już tylko o wyciągnięciu się na sienniku, ruszyłem w kierunku naszej kwatery.

To był jeden z najgorszych dni w niewoli, którego podsumowaniem może tylko być stwierdzenie: tak dużo niepotrzebnego cierpienia!

Armia Czerwona była coraz bliżej, co niepokoiło Niemców. Rankiem 11 lutego w fabryce panowało ożywienie. Wszyscy Niemcy zebrali się na małym placu naprzeciwko wejścia. Na bocznicę czekały niezliczone puste wagony towarowe.

Nie kazano nam, więźniom politycznym i innym, iść do zwykłych miejsc pracy. Dowiedziałem się, że, jak można było oczekiwać i zakładać, fabryka będzie demontowana i przeniesiona do Schweinfurtu, siedziby firmy Kugelfischer.

Gdy pierwszy wagon był już gotowy do załadunku, zaczęliśmy natychmiast demontaż tokarek i innych maszyn. Załadowane do pełna wagony odprowadzano na boczny tor. Ładowane było także wyposażenie, narzędzia i gotowe lub na wpół gotowe łożyska. Była to dla nas wszystkich nużąca, wyniszczająca harówka.

Drugiego dnia tej nieustannej pracy, do fabryki, o zwykłej porze, weszli więźniowie polityczni. Wielu z nich miało na plecach długiej kurtki zrobiony czerwoną farbą duży znak. Pytałem, co to ma znaczyć. Odpowiedź sprawiła, że zmartwiałem: wszyscy oni byli skazani na śmierć i mieli zostać zabici po zakończeniu demontażu fabryki. Pytałem niektórych z nich, z jakiego powodu ma być popełniona ta kolejna zbrodnia, ale nikt tego nie wiedział, albo nie chciał powiedzieć. Dotyczyło to 250 skaza-

nych na śmierć więźniów politycznych. Czy w obozie doszło do rewolty, powstania, próby ucieczki? Możliwe!^{30/}

Załadowane wagony zostały odprowadzone na dworzec, gdzie zestawiano z nich długi skład. W pierwszych czterech wagonach były normalne przedziały pasażerskie dla niemieckich pracowników cywilnych. Jeden z wagonów został przekształcony w wagon restauracyjny dla przygotowywania posiłków w czasie podróży. My, Włosi, musieliśmy zająć miejsca w dwóch wagonach towarowych z wysokimi ścianami bocznymi, które załadowane były łożyskami i innymi materiałami. Te wagony były nakryte wielką nawoskowaną płachtą namiotową i znajdowały się prawie na końcu pociągu. Jechać w tych warunkach do Schweinfurtu we Frankonii nie było przyjemnością.

Z kierunku wschodniego, od strony Karkonoszy, słychać już było wyraźne głębokie dudnienie armat, które z godziny na godzinę stawało się coraz wyraźniejsze. We wczesnych godzinach popołudniowych 17 lutego pociąg wolno ruszył w drogę w kierunku południowym, do granicy czechosłowackiej, prawie równoległe do linii frontu. Po kilku godzinach jazdy zatrzymał się. Głęboką ciemność wokół nas rozrywały błyski eksplozji granatów. W krótkich momentach ciszy zamieraliśmy w bezruchu. Po chwili znów szalała piekielna strzelanina.

Siedzieliśmy skuleni w wagonie pod nawoskowaną płachtą namiotu, zawinięci w płaszcz i dwa koce, które dano nam przed odjazdem. Przy każdej eksplozji podskakiwaliśmy. Myślałem, że byłby to naprawdę pech, abym miał stracić życie teraz, gdy tak wiele już przeszedłem. Zastanawialiśmy się, czy byłaby to dobra okazja, aby wymknąć się Niemcom i oczekiwać na przybycie rosyjskich oddziałów? Ale jak? Ale gdzie? Na jakie niebezpieczeństwa by nas to naraziło? Kilka dni radziliśmy nad tym, ale nikt nie zdecydował się wcielić ideę w czyn. Także dlatego, iż krążyła plotka, jakoby Rosjanie na zajętych przez siebie terenach, napotkanych Włochów, szczególnie tych, którzy byli zatrudnieni w rolnictwie, brali do niewoli^{31/}. Z deszczu pod rynnę! Przeciwnieństwo wyzwolenia! Nie wie-

30/ Chodziło o więźniów, którzy nie uczestniczyli w nieudanej ewakuacji obozu w lutym 1945 r. Utworzono z nich kamą kompanię. Na skutek prowadzonego wobec nich w obozie i w miejscu pracy bezwzględniego terroru wielu z nich zostało zamordowanych.

31/ Nie chodziło o plotkę: Włoscy żołnierze, którzy po 8.09.1943 r. przeciwstawiali się złożeniu broni mieli być, zgodnie z niemieckimi „Wytycznymi o traktowaniu włoskich

dzieliśmy, czy plotki okażą się prawdziwe, czy okażą się fałszem? Kto to mógł wiedzieć? Wiadomości „radio scarpa” zawierały zawsze cząstkę prawdy. Może to odpowiedź Rosjan na atak armii Mussoliniego? W końcu to armia Mussoliniego wkroczyła do ich odległego kraju, aby dać żołnierzom Trzeciej Rzeszy silne wsparcie. Ale czy to była nasza wina? Czy nie dość za to zapłaciliśmy? Pozwoliliśmy więc nieść się wydarzeniom, i jeśli los tak chce, to tak powinno być. A w końcu Frankonia leży dużo bliżej Włoch niż Dolny Śląsk!

O świcie pociąg znów ruszył w drogę: jechał ciągle męcząco powoli, przekroczył czechosłowacką granicę, oddalił się od linii frontu. Huk armat już nie był słyszalny. Konwój jechał przez Liberec, Pragę do Pilzna, i wjechał na teren Niemiec. Rankiem, około godziny 11, gdy przejeżdżał przez pokrytą śniegiem równinę, nagle dał się słyszeć huk silników samolotowych. Dwa samoloty nadleciały nad pociąg i ostrzeliwały go z karabinów maszynowych, uszkadzając lokomotywę. Wagony zderzały się, podskakiwały wysoko, ale się nie wykoleiły. Zaskoczeni, po chwili niezdecydowania, wyskoczyliśmy wszyscy z wagonów i pobiegliśmy w kierunku małego lasu jodłowego. Po krótkim czasie samoloty wróciły i lecąc nisko, ostrzelały cały pociąg kilka razy. Lokomotywa spowiła się kłębamii pary. Nie wiedzieliśmy, czy były ofiary, ale na to nie wyglądało.

Odczekaliśmy w lesie, aż zrobiło się ciemno. Dopiero gdy upewniliśmy się, że nie będzie już ataku, wróciliśmy do wagonów. Otrzymaliśmy po kawałku chleba i plaster salami, ale zupełnie skreślono. Obawiałem się, że w przyszłości przeżyjemy jeszcze wiele takich ataków, może nawet o wiele bardziej gwałtownych i niszczyielskich bombardowań.

żołnierzy i milicjantów” z 15.09.1943, rozstrzeliwani z wyroku sądu doraźnego. W kilku wypadkach doprowadziło to do prawdziwej masakry włoskich żołnierzy, jak np. na wyspach Kefalonia (gdzie 1. Dywizja Górską rozstrzelała ok. 5 tys. żołnierzy i oficerów włoskich) i Korfu (obie w archipelagu Wysp Jońskich). Żołnierze, którzy przeżyli zostali wcieleni do batalionów budowlanych Wehrmachtu, pracujących w pobliżu frontu, a po wkroczeniu oddziałów sowieckich ponownie wzięci do niewoli. Wielu internowanych wojskowych nie przeżyło tej, trwającej częściowo do 1947 roku, „drugiej niewoli jenieckiej”. Por. Jens Nagel, „Włoscy i polscy jeńcy wojenni w pracach dokumentacyjnych Miejsca Pamięci Ehrenhain-Zeithain”, w: „Łambinowicki Rocznik Muzealny” 2003, t. 26, s. 118.

W czasie półtorarocznego pobytu w Landeshut tylko dwa razy był alarm lotniczy, gdy wielkie floty powietrzne przelatywały nad miastem z zachodu na wschód. Musieliśmy wtedy uciec do sztolni, która była wykopana we wzgórzu, w pobliżu fabryki. Ze strony rosyjskiej nie było ataków lotniczych. Nawet gdy front był oddalony o parę kroków, nigdy nie widziano samolotu z czerwoną gwiazdą.

Siedziałem skulony pod nawoskowaną płachtą, gdy o pierwszym brzaśku pociąg, z nową lokomotywą, ruszył w dalszą drogę. Myślałem, jak zawsze, o moich najbliższych i miałem nadzieję, że już niedługo się spotkamy, myślałem też o więźniach politycznych w Landeshut i bardzo pragnąłem, aby uniknęli egzekucji. Myślałem też o profesorze, który mówił do mnie po łacinie. Nie był on wprawdzie dobrym prorokiem, jednak, o ile przeżył, mógł wrócić na swój uniwersytet. 23 lutego, bez dalszych przygód, we wczesnych godzinach popołudniowych pociąg dotarł do Schweinfurtu.

Z dworca poprowadzeni zostaliśmy pod eskortą do oddalonego około 1,5 km baraku, położonego na uboczu, na prawym brzegu Menu. Barak był dość duży i podzielony na wiele pomieszczeń, w których znajdowały się zwykle drewniane prycze. Zamieszkany już był przez innych Włochów. Idąc do baraku, musieliśmy omijać leje po bombach, które pozostały po niedawnych nalotach dywanowych. Niemcy, próbując chronić swój przemysł przed zniszczeniem z powietrza, pokrywali całą okolicę zasłoną dymną, aby ukryć cele. Dlatego wiele bomb spadło do rzeki lub w pobliżu fabryk.

Następnego dnia rozpocząłem pracę przy tokarce w głównej siedzibie Kugelfischer. Z powodu bombardowań produkcja odbywała się w wielkich podziemnych pomieszczeniach, które zabezpieczone były przed atakiem pokrywą z żelazobetonu i piasku. Syreny miejskie wyły bez przerwy. Ostrzeżenie, alarm i koniec alarmu następowały po sobie, nawet wtedy, gdy formacje samolotów przelatywały tylko nad miastem nie zrzucając swego śmiertcionośnego ładunku. Kontynuowaliśmy pracę, nie zważając na sygnały alarmowe. Za to w czasie wolnym w baraku często byliśmy budzeni i zmuszani do udania się do bunkra w pobliżu dworca.

Po pewnym czasie stało się dla mnie jasne, że tak dalej nie może być. Bez odpoczynku źle się pracowało. Postanowiłem, że będąc w baraku, nie będę chodził do schronu, bo barak, jak już mówiłem, znajdował się w odległym miejscu bez jakiegokolwiek militarnego znaczenia. Podczas alarmu bombowego pozostawałem więc w baraku i obserwowałem bardzo

często „strasznie-piękne” przedstawienia. Podczas nocnego bombardowania miasta Würzburg bombami fosforowymi^{32/} byłem, mimo oddalenia, świadkiem pirotechnicznego spektaklu o niezwykłych rozmiarach, jakiego już pewnie nigdy nie przeżyję.

Dni mijały, słynna niemiecka organizacja zaczynała szwankować, już nawet chleb i zupa nie były wydawane regularnie.

1 kwietnia: Wielkanoc. Kolejna Wielkanoc wyrzeczeń i bez żadnych widomych oznak wielkiego święta. Z kilkoma kolegami udaliśmy się na poszukiwanie ziemniaków lub czegokolwiek do jedzenia, ale wróciliśmy z pustymi rękami. Mówiliśmy sobie: Cierpliwości! Nie możemy właśnie teraz tracić ducha albo się poddać, gdy nasz cel, powrót do domu, zbliża się wielkimi krokami.

7 kwietnia, wracając do baraku, widzieliśmy nad nami samolot zwiadowczy, który dobrze poinformowani nazywali „bocianem”. Przeleciał nad nami szerokim łukiem i zniknął. Po kilku chwilach usłyszeliśmy nad głowami gwizd, po którym nastąpiła głośna eksplozja. To amerykańska artyleria zaczęła ostrzeliwać rejon mostów, linię kolejową i drogę na północny wschód od miasta.

Szybko spakowaliśmy nasze rzeczy, plecak i koce, i poszliśmy do podziemnych piwnic, gdzie pracowaliśmy jeszcze przed paroma godzinami. Piwnice te były już zapchane obcymi, mężczyznami i kobietami, te ostatnie, to w większości Rosjankami. Znowu – powiedziałem do siebie, ale tym razem, były to amerykańskie armaty, a Niemcy nie interesowali się nami, przeciwnie, znikli i żadnego nie było widać. W nocy słychać było wyraźnie ryk motorów samolotów, i po kilku chwilach nad nami straszny huk, po którym następowały kolejne i głuche łoskot walących się murów. Zrobiło się zupełnie ciemno i gruba, gęsta chmura pyłu zasłoniła wszystko. Oddychaliśmy z trudem, usta i nos zasłanialiśmy chusteczką. Z czasem chmura pyłu się rozrzedziła, tu i tam można było zobaczyć płomyki zapalonych zapalek.

32/ 16.03.1945 r. atak powietrzny aliantów, przy użyciu 236 ciężkich bombowców, kosztował życie prawie 5000 osób. 90% śródmieścia zostało zamienione w gruzy i zgliszcza. Zniszczeniu uległo 85% zabudowań historycznego Würzburga. 90% ludności straciło dach nad głową.

Rano wyszedłem na powietrze, na mały plac, gdzie rampa wejściowa podchodzi do piwnicy. Wszystko wokół to stos zgliszczy, a pięciopiętrowy budynek nad schronem, siedziba administracji Kugelfischer, już nie istniał. Także przyległe ulice, to tylko ruiny i zgliszcza. Pokrywa z żelazo-betonu i piasku została rzeczywiście zbudowana według wszelkich reguł sztuki i wytrzymała tak silne uderzenie. Inaczej znalazłbym wraz z innymi śmierć na miejscu. Front powinien był zbliżać się od południowozachodu, ale tam panował absolutny spokój, a przynajmniej tak się wydawało. Mijały godziny. Oprócz tego, że głodowaliśmy, nic specjalnego się nie wydarzyło.

Następnego ranka nadal panował spokój. Podobnie jak kilku moich towarzyszy, postanowiłem i ja iść na dworzec kolejowy, gdzie w rozwalonych wagonach powinna znajdować się żywność. Do dworca było tylko około 1 kilometra, ale nie było łatwo tam się dostać, ponieważ trzeba było pokonać gruzy i kraterę po eksplozjach. Podobny pomysł miała młoda Rosjanka, naprawdę piękna, ale ubrana w łachmany. Gdy spostrzegła, że za nią idę, poczekała na mnie. Razem przyszliśmy na dworzec, albo raczej to, co z niego zostało. Kupa gruzów i powyginane żelazo. Jeden wagon przewrócił się i sterczał kołami do góry. Wokół leżały niezliczone puszki salami i kilka wiader, z jakimiś napisami. Wpadło mi w oko słowo „miód”. Każde z nas wzięło puszkę salami i jedno wiadro miodu. Na nasze nieszczęście, w drodze powrotnej spotkaliśmy wycofujący się oddział SS. Oficer, który nimi dowodził, rozkazał nam się zatrzymać, celował w nas z pistoletu i nam groził. Żołnierze zatrzymali się również, a ich ponure spojrzenia nie wróżyły niczego dobrego. Młoda Rosjanka wyjaśniała oficerowi, bardzo spokojnie, grzecznie i perfekcyjnie po niemiecku, że jesteśmy robotnikami z zakładów Kugelfischer i od wielu godzin nie otrzymaliśmy pożywienia. To, co niesiemy ze sobą znaleźliśmy na dworcu. Oficer przez chwilę się zastanawiał, ale potem rozkazał swoim ludziom maszerować dalej. Gdy niebezpieczeństwo minęło, poczułem zimny pot. Zagrożenie było duże!

W piwnicy otworzyłem puszkę i wyczułem silnie stęchły zapach: salami było bez reszty zepsute. Otworzyłem wiadro i z trudem oderwałem kawałek miodu. Miód był twardy jak kamień, ale dobry. W międzyczasie huk ostrzału się nasilił, ale już nie było słychać eksplozji granatów, za to wyraźnie terkot lekkiej broni.

Pod wieczór znów wrócił spokój i głęboka cisza. Także w nocy nie było słychać żadnych odgłosów walk. Wczesnym rankiem zobaczyliśmy

czterech amerykańskich żołnierzy z karabinami, schodzących ostrożnie po rampie z parteru. Zauważyli nas, jeden podszedł bliżej, podczas gdy trzech pozostali go osłaniali. W tym momencie przywitał ich radosny, długi aplauz. Były to chwile pełne szczęścia. Jeden z żołnierzy spytał po neapolitańsku, ale z amerykańskim akcentem, czy są tu ludzie z jego kraju. W odpowiedzi my, Włosi, wszyscy podnieśliśmy ręce i wyszliśmy mu naprzeciw. Żołnierz ten powiedział nam, że w oczekiwaniu na dalsze rozkazy powinniśmy zachować spokój.

Był 11 kwietnia 1945. Byliśmy wolni, wolni, wolni!

Skończyła się praca przymusowa, skończył koszmar głodowania, odeszły w przeszłość troski, obawy, nieludzkie cierpienia, szykany, poniżenia. Każdy odnalazł samego siebie, swoją osobowość, odzyskał swoją godność, przestał być numerem, stał się znów istotą ludzką, posiadającą duszę i uczucia. Nasza wytrwałość, wola życia i nasze ideały zwyciężyły w tych nieuczciwych i podstępnych walkach. Byliśmy uratowani. Powrót do domu był już pewny, i bliskie już było spotkanie z naszymi najbliższymi.

Nie była to już tylko nadzieja, lecz bardzo piękna rzeczywistość. 11 kwietnia 1945! Dzień godny zapamiętania, który na zawsze pozostanie żywy w świadomości każdego z nas. Wydarzenie to nie wzbudziło jednak we mnie wielkiego zachwytu ani też mnie nie zaskoczyło, chociaż mam taki charakter i temperament, że łatwo wpadam w zachwyty lub przygnębienie. Stało się tak, być może dlatego, że Amerykanie nie nadeszli nagle, niespodziewanie. Może też w głębi ducha liczyłem już na koniec wojny i uwolnienie uznałem za naturalny i logiczny koniec tej okropnej przygody.

Następnego dnia dwóch amerykańskich żołnierzy poprowadziło nas jak stado owiec do koszar Wehrmachtu na skraju miasta, gdzie zgromadzono wszystkich obcokrajowców, którzy znaleźli się w tej okolicy^{33/}. Koszary te, to bardzo rozległy teren, o owalnym kształcie, otoczony murem z wielką żelazną kratą przy wyjściu. Wzdłuż ogrodzenia znajdowały się czteropiętrowe domy mieszkalne, garaże na czołgi i ciężarówki, a także inne budynki, przeznaczone dla oficerów i wojskowych innych rang.

33/ Pod koniec czerwca w koszarach było 9600 cudzoziemców, głównie Polaków i częściowo Włochów. Do 15.07.1945 liczba ta spadła do 8400.

Zastanawiałem się, dlaczego te koszary nie zostały zniszczone w czasie bombardowań, i przypuszczałem że zostały oszczędzone rozmyślnie^{34/}. My, z Kugelfischer, zostaliśmy zakwaterowani w małym domu przy żelaznej bramie, obok budynku zajętego przez Rosjan. Znajdowali się tam już Włosi i ciągle jeszcze przychodzili następni, w tym także kilka osób z mojej okolicy. Jeden z żołnierzy, Ezio Marraccini, urodził się w małej wiosce, położonej niedaleko mojej rodzinnej miejscowości. Bardzo się ucieszyłem z tego spotkania. Zapewnienie nam wyżywienia zostało przejęte przez, powołane na rozkaz Amerykanów, władze miasta Schweinfurt. Ponadto zostaliśmy poinformowani, że możemy składać skargi przeciwko Niemcom, którzy winni byli wobec nas ciężkich przestępstw. My, z Kugelfischer, oddaliśmy ogólny raport o nieludzkim traktowaniu, na jakie byliśmy narażeni.

Po południu opuściłem koszary i zrobiłem małą wycieczkę do miasta: wszędzie zniszczenia. Ulice, place, ogrody zamienione w jednolite morze gruzów, śmieci i głębokich lejów po bombach. Tylko kilka budynków wznosiło się jeszcze widmowo w tej przerażającej rzeczywistości. Spotkałem mało osób, kilka starych kobiet o zaniedbanym wyglądzie, patrzących uparcie prosto przed siebie, jakby chciały dojrzeć przyszłość, kilku słabych starców, którzy niepewnie, bez celu, krążyli w poszukiwaniu kogoś lub czegoś. W beznadziejnym pejzażu, te resztki ponemieckiej zarozumiałości, może niewinni obserwatorzy strasznej tragedii, nie budzili we mnie żadnego gniewu ani wściekłości, a jedynie współczucie dla ich cierpienia. Gdy przechodzili blisko mnie, podnosili prawą rękę do zwykłego jeszcze niedawno pozdrowienia „Heil Hitler”, ale nagle opuszczali ramię i z ich ust wydobywało się słabe, prawie wyszeptane, nigdy nie zapomniane, „Grüss Gott” (szczęść Boże). Wracając do koszar, szedłem pełną drogą przez mały las. Na skraju drogi leżały jeszcze ciała kilku niemieckich żołnierzy, wśród nich ciała dwóch podoficerów marynarki wojennej. Kto wie, jaki dziwny los kazał im znaleźć właśnie tam swój koniec.

34/ Przypuszczenie Leonardo Calossiego nie jest zgodne z prawdą. Według planów zrzuć bomb nie można potwierdzić rozmyślnego ominięcia. Tylko w czasie ataku z 17.04.1943 w koszarach pancernych i przeciwpancernych było 120 trafień. Koszary Wehrmachtu nie były strategicznym celem bombowców aliantów, a jedynie zakłady przemysłowe i samo miasto. Por. również Böhm/Klement, *Zwischen Schulbank und Kanonen*, Schweinfurt 1989, s. 78 n.

Pierwszy posiłek wolnych obywateli, kolacja, był dość dobry: gęsta zupa z ziemniaków i jarzyn, dobrze doprawiona, chleb i plaster mięsa.

Front już się oddalił. Szybko przesunął się w kierunku serca Niemiec. Nie słysząc już było tępego dudnienia armat ani huku bombardowań, ale o wojnie przypominały nam wielkie eskadry samolotów i niekończące się kolumny samochodów ciężarowych, załadowanych materiałami i oddziałami żołnierzy, a także czołgów, lawet z armatami oraz innych pojazdów, różnego rodzaju i rozmiarów, jadące pobliską szosą prowadzącą z Mainz^{35/}. Robiło to ogromne wrażenie.

W jakiś sposób trzeba było wykorzystać czas. Wróciłem do ruin dworca. W zbombardowanych wagonach znajdowały się najróżniejsze towary i przedmioty, wśród których odkryłem zamknięty kufer. Wyłamałem zamek i zobaczyłem, ku mojemu zdumieniu, kurtkę i kasztanowobrazowe spodnie z lekkiego materiału, do tego parę ciężkich czarnych butów^{36/}. W koszarach wypróbowałem nowe ubranie. Wprawdzie nie leżało jak ulał, ale dosyć dobrze w nim wyglądałem. Buty były trochę za duże, ale temu zaradziłem dzięki grubej wkładce z płótna. Zużyty mundur zdjąłem i włożyłem to wyszukane ubranie, które było obiektem zazdrości kolegów. Najważniejsze były buty. Mogłem wyrzucić te podarte i rozczłapane, które wymieniłem za kawałek chleba w Landeshut.

W koszarach panował ciągły ruch. Byli rosyjscy jeńcy wojenni, robotnicy przymusowi, mężczyźni i kobiety, zrobili wyprawę po rowery. Wspinali się bawili, jeżdżąc po ulicach w koszarach. Niektórzy jeździli szybko, ale większość to początkujący, chwiali się w budzący grozę i niebezpieczny dla nich sposób. Niektórzy się przewracali.

Wyglądało jakby niektórzy z nich dopiero odkryli upojenie dwoma kólkami. Może i tak było!

Czas mijał, a o naszym powrocie w ogóle nic się nie mówiło. Wszyscy jeńcy wojenni z krajów alianckich zostali już wysłani do domów. W ko-

35/ Dzisiejsza B 26, która prowadzi przez Darmstadt, Aschaffenburg, Lohr, Arnstein do Schweinfurtu.

36/ Wraz z wkroczeniem amerykańskich oddziałów cudzoziemcy, wspierani przy tym przez niemieckich cywilów, dopuszczali się wielkich rabunków koszar, wagonów kolejowych oraz sklepów i mieszkań.

szarach zostali tylko Rosjanie i my, Włosi. Ponieważ nasze myśli zaprętały tylko powrót do domu, zastanawialiśmy się z kilkoma przyjaciółmi, czyby nie przedsięwziąć czegoś na własną rękę. Piemontczyk z Turynu, elektromechanik z zawodu, mówił, że niedaleko, w na wół zburzonym garażu, stoi stary autobus pocztowy, który mógłby dla nas przygotować. W następnych dniach, pełni entuzjazmu, poszukiwaliśmy części zamiennych w wrakach samochodów, podczas gdy Piemontczyk wymontowywał, montował i ulepszał. Przedsięwzięcie jednak się nie udało, bo zarzewiały wrak nie dał się poruszyć.

W międzyczasie w koszarach, pod gołym niebem, ustawiono estradę do tańca i skompletowano naprędce orkiestrę. Tutaj Włosi zachowywali się jak szefowie, i podbijali serca młodych Rosjank. To wzbudziło niechęć rosyjskich mężczyzn i prowadziło do wielu utarczek, kończących się ciężkimi zranieniami. Z tego powodu amerykańskie dowództwo zmuszone było wysłać do naszych koszar żołnierzy i żandarmów. Przyjechał także rosyjski komisarz polityczny. Spokój został przywrócony i świętowanie trwało dalej, już bez przeszkód.

Była wiosna i we Frankonii było ciepło. Chodziłem na długie spacery wzdłuż Menu, gdzie przychodzili też inni koledzy. Pewnego dnia spotkałem tam także grupkę byłych rosyjskich jeńców z obozu Antonienwald, którzy przywitali mnie uściskami i poklepywaniem po ramieniu. Oni także zostali ewakuowani z Dolnego Śląska.

Ponieważ z naszej podróży do domu autobusem pocztowym nic nie wyszło, zastanawialiśmy się, czy nie spróbować na rowerze. Schweinfurt jest dość oddalony od Włoch, ale robiąc codziennie jakiś odcinek, mogliśmy w krótkim czasie dotrzeć do naszego kraju. Nie mieliśmy jednak rowerów i obawialiśmy się, że nie będzie łatwo jakieś znaleźć. Były jeńiec rosyjski, z którym często rozmawiałem, posiadał dwa rowery, w tym jeden damski. Odwiedziłem go i spytałem, czy nie oddałby mi jednego roweru. Popatrzył na mnie zdziwiony, ale zadeklarował gotowość odstąpienia jednego, chciał za to jednak mój piękny brązowy garnitur. Odpowiedziałem mu, że wymiana nie jest możliwa, bo kurtka i spodnie od munduru, które nosiłem przez dwa lata, to już tylko brudne szmaty i już je wyrzuciłem. Rosjanin zaproponował mi krótkie spodnie i niemiecką wojskową koszulę. Było lato, więc uznałem je za więcej niż wystarczające ubranie. Ubiliśmy interes na miejscu – męski rower, spodnie i koszula za brązowy garnitur z lekkiego materiału! Wypróbowałem rower natychmiast, jeździł bardzo dobrze. Był wyposażony w torbę na narzędzia i czę-

ści oraz pompkę. Potem wróciłem w nowym odzieniu i z rowerem do naszych koszar. Kolega Ragozzini, z Forii, jedyny obecny w sali, wybuchnął gromkim śmiechem. Kiedy jednak powiedziałem, że w ten sposób chcę wrócić do domu, spoważniał, stwierdził jednak, że nie czuje się na siłach podjąć tak długiej podróży. W międzyczasie trzech innych kolegów znalazło rowery. Byłem przekonany, że ukradli te rowery Rosjanom. Musieliśmy jeszcze postarać się o mały zapas żywności, przynajmniej trochę czerstwego chleba. Gdy w końcu wszystko było gotowe do wyjazdu, pojawiła się nowa przeszkoda. Został wydany rozkaz, który zakazywał wszystkim samodzielnego udawania się w podróż, aby nie blokować dróg. Grożono karami, które mogłyby jeszcze bardziej odwlec powrót do domu. Byliśmy gorzko zawiedzeni.

Tymczasem Rosjanie przygotowywali się do wyjazdu. Niektórzy z nich, i kobiety, i mężczyźni, zamierzali jednak nie wracać do swojego kraju. Agenci amerykańskiej żandarmerii i radzieccy komisarze polityczni ruszyli więc na poszukiwania „buntowników”. Przeszukiwali też małe zagajniki wzdłuż Menu i sąsiednie zagrody wiejskie. Komisarze, którzy wcześniej przeprowadzili spis obywateli swojego kraju, wiedzieli kogo brakuje, poszukiwania więc były łatwe. Gdyby podobna sytuacja zaszła u nas, Włochów, byłoby zupełnie daremnym zadawać sobie trud, ponieważ żyliśmy tam w kompletnej anarchii, i prawdopodobnie w momencie wyjazdu na miejscu znaleźliby się ci, którzy akurat by tam byli. Kim byliśmy? Jak wielu nas było? Czy ktoś to wiedział? Byliśmy tylko grupą opuszczonych, niczym więcej.

O zamiarach Rosjan, aby nie wracać do domu, wiedziałem już od dawna, ponieważ przy wielu okazjach, gdy z nimi rozmawiałem, ujawniali ten plan. Ich życzeniem było wyjechać gdzieś dalej, do Francji, a potem, jeśli to możliwe, do Ameryki. W końcu wszyscy Rosjanie wyjechali. Nie spotkałem już więcej żadnego z nich^{37/}.

37/ Rząd radziecki także niechętnych zmusił do powrotu do ZSRR. Tęm był tajny rozkaz Stalina nr 270 z 16.08.1941. Poddanie się wrogowi lub ucieczka do niego zostały ogólnie zakwalifikowane jako złamanie przysięgi na sztandar. Powracający jeńcy wojenni byli sprawdzani przez urzędy. Wielu z nich trafiało do batalionów pracy, specjalnych stref zasiedleń lub karnych obozów pracy. Większość oficerów była rozstrzeliwana lub deportowana do obozów pracy.

Zostaliśmy sami, ale mieliśmy nadzieję, że nasz powrót też się zbliża. Ponieważ było ciepło, dla zabicia czasu chodziliśmy kąpać się w rzece albo się opalać. Ja szczególnie lubiłem pływać i z kilkoma innymi pozwalałem się nieść prądowi na długich odcinkach. Nad brzeg rzeki przychodziło też dużo kobiet. My, Włosi, byliśmy tam jedynymi mężczyznami. Amerykanie mieli surowy zakaz nawiązywania intymnych stosunków z Niemkami. Wszyscy inni cudzoziemcy wyjechali, a młodych miejscowych nie było. Byliśmy jedynymi kogutami w kurniku pełnym kur. Dlatego przystępność dla kogoś, kto jej szukał, nie była niczym trudnym.

Rower, po tym jak nasza podróż do Włoch się nie udała, oddałem staremu Niemcowi, który pracował w amerykańskiej kuchni. W zamian dał mi dwa kawałki mięsa, które upiekłem nad żarem i zjadłem wraz z kolegami – delikatesy! Co się tyczy smacznych kasków: spróbowałem przypadkiem grzybów, muchomorów cesarskich i prawdziwków, które znalazłem w lasku koło koszar. Gdy spostrzegłem grzyby, wróciły wspomnienia o minionych dniach, gdy w Monticiano grzybobranie było przyjemnym i przynoszącym korzyści wydarzeniem. Ugotowałem grzyby z margaryną i solą. Moi koledzy, mimo wspaniałego zapachu, nie chcieli ich jeść, z obawy przed zatruciem. Nic ich nie przekonywało, nawet moje zapewnienia, że jestem bardzo doświadczonego zbieracza grzybów. Ich strata!

Wreszcie się udało! Kilka francuskich samochodów wojskowych zatrzymało się na ulicy, aby nas zabrać: był 6 lipca. Minęły prawie trzy miesiące od przybycia Amerykanów, cholernie dużo czasu. Spakowanie się nie stanowiło dla nas problemu i w świątecznym nastroju wyruszyliśmy w podróż. Jednak francuscy żołnierze przywitani nas nieuprzejmie i bardzo szorstko. Kazali nam wsiadać do ciężarówek. Już o tym zapomniałem: byliśmy przecież tymi od „noża w plecy”^{38/}, i dlatego nie zasługiwa-

38/ Przekonany o szybkim zwycięstwie Hitlera w czasie najazdu na Francję, Mussolini wypowiedział 10.06.1940 r. wojnę Francji i Anglii. 21 czerwca, gdy armia francuska była już rozbita, Włosi zaatakowali południową granicę Francji. Francuskie umocnienia okazały się jednak nie do zdobycia, skończyło się na zajęciu drobnych obszarów na pograniczu. 24 czerwca Francja i Włochy podpisały zawieszenie broni. Pozostał jednak francuski zarzut wbicia „noża w plecy”.

liśmy ani na szacunek, ani na lepsze traktowanie. W końcu byliśmy pokonanymi, a pokonani, jak uczy historia, zasługują tylko na pogardę. Miałem wrażenie, że oni organizują nasz powrót do rodzin nie w odruchu ludzkiej solidarności, ale aby pozbyć się niewygodnego „towaru”, który, pomijając inne względy, wymagał też pewnego utrzymania.

Francuskie ciężarówki zawiozły nas na dworzec pod Würzburgiem, gdzie stał już pociąg, który miał nas zawieźć do Włoch. Zajęliśmy miejsca w zamkniętym wagonie, w takim z rodzaju „8 koni – 40 osób”^{39/} i czekaliśmy tam spokojnie, ale z niecierpliwością, na wyteśniony wyjazd.

Długi pociąg ruszył w drogę, gdy było już ciemno. Jechał bardzo wolno, ponieważ odcinek torów, który dopiero niedawno został oddany do użytku, nie pozwalał na większą prędkość. Od czasu do czasu robił długie przerwy, aby dać przejazd innym pociągom, które były ważniejsze niż nasz. Przez Norymbergę, Donauwörth, Augsburg, Monachium, Garmisch pociąg dojechał do Mittenwald w bawarskich Alpach, gdzie skończył swój bieg. Tam kazano nam wysiadać i zająć kwatery w dużych koszarach. Następnego dnia zabrał nas następny pociąg towarowy, jechaliśmy, ciągle powoli, przez Innsbruck, przełęcz Brenner...

Włochy! Włochy! Znów byliśmy w ojczyźnie: był 11 lipca.

Wszystko, co odtąd się wydarzyło miało już inne znaczenie, bo znów byliśmy wśród swoich. Kilku celników pełniło straż na przejściu granicznym. Mieli inne mundury niż wcześniej, ale żółte płomienie były wyraźnie widoczne. Ogarnęło mnie głębokie wzruszenie. Skuliłem się w rogu wagonu, łzy płynęły mi strumieniem po twarzy. Pociąg zatrzymał się na jakiś czas na przejściu granicznym, a potem zjechał w dolinę rzeki Eisack. Fakt, że „żółte płomienie” znajdowały się w Brenner świadczył o tym, że Włochy żyją jako państwo. To dało mi nadzieję i odwagę. Dalej jechaliśmy przez Brixen, Bozen, Trento i Rovereto, dokąd przybyliśmy głęboką nocą. Nagle drzwi wagonu się otworzyły i w ciemności dostrzegliśmy dwóch księży, którym towarzyszyło kilku młodych ludzi. Podając nam podłużny pszenny chleb, złożyli nam życzenia szczęśliwego powrotu do domu. Pociąg skończył bieg w Pescantina pod Weroną, gdzie urządzono

39/ Napis na wagonach towarowych.

obóz zbiorczy dla byłych internowanych, przybywających z Niemiec. Powiedziano nam, że pobyt tam będzie trwał długo, mówiło się nawet o kwarantannie. Zamiast iść do obozu zbiorczego, zatrzymaliśmy się na polu kukurydzy obok dworca. Tam, na nagrzanym słońcem ziemi, spędziliśmy noc. Kilku kolegów pożegnało się i odeszło od razu po przyjeździe pociągu do Pescantina. Rano, po obgryzieniu kilku kolb kukurydzy, po pewnym czasie wyruszyliśmy pociągiem towarowym do Bolonii, dokąd dotarliśmy po południu. Dworzec roił się od ludzi, wielu wlekło ze sobą najróżniejsze bagaże, większość była źle ubrana i zaniedbana. Wszyscy czekali na jakiś pociąg, który dowiozłby ich do celu.

Zniszczenia i stosy gruzów wskazywały, jak gwałtownie musiała szaleć wojna i w tej okolicy. Kolejni przyjaciele nas opuścili, i tak zostałem w towarzystwie dwóch kolegów, mojego krajana Dino Cangiolo z Florencji i Bruno Ciolli z Volterry. Podczas gdy rozglądałem się za jakąś możliwością dotarcia do Florencji, spotkałem w dworcowej hali porucznika i strażnika celnego, których znałem jeszcze z czasów służby w Albanii. Przywitaliśmy się serdecznie, oni także powracali do domu z internowania w Niemczech. Znów podjęli służbę w Bolonii. Oficer zaproponował mi pozostanie w mieście i podjęcie służby. Odpowiedziałem, że przede wszystkim chcę się spotkać z rodziną w Monticiano. Wstydiłem się, jednak poprosiłem o coś do jedzenia, gdyż przez cały dzień obgryzałem tylko kolby kukurydzy. Strażnik celny oddał mi się i wkrótce potem wrócił z chlebem, którym podzieliłem się z kolegami.

W międzyczasie na dworzec wjechał długi pociąg z amerykańskimi czołgami. Gdy rozeszła się wiadomość, że jedzie bezpośrednio do Livorno, został wzięty szturmem przez tłum, który czekał z utęsknieniem, kto wie jak długo, na możliwość odjazdu. Amerykańscy żołnierze z eskorty w zdecydowany sposób zmusili wszystkich do opuszczenia pociągu. Powiedziałem jakiemuś podporucznikowi, że ten pociąg byłby dla mnie i moich towarzyszy świetną okazją, aby dostać się do domu. Ten zwrócił się do oficera, mówiąc mu, że jesteśmy powracającymi z internowania w Niemczech i chcemy dotrzeć do Toskanii. Amerykanin pozwolił nam wsiąść do pociągu. Zajęliśmy miejsca na przedniej części wielkiego czołgu.

O zachodzie słońca pociąg ruszył i następnego dnia we wczesnych godzinach porannych wjechał na dworzec w Rifredi. Pożegnaliśmy towarzyszy z Florencji i wkrótce potem pociąg ruszył w dalszą drogę. Wysiedliśmy w Ponte a Elsa. Tam czekaliśmy na jakiś przygodny transport, aby dotrzeć do Sieny. Kolega z Volterry miał 20 lirów, zaproponował więc,

aby pójść do pobliskiego sklepu i kupić coś do jedzenia. Właściciel sklepu i inni obecni pytali skąd pochodzimy i co jest celem naszej podróży. Powiedzieli też nam, że za 20 lirów nic nie można kupić – jeśli chodzi o wartość pieniędzy, to my zatrzymaliśmy się w roku 1943. Jednak właściciel sklepu dał każdemu z nas po kromce chleba i kawałku sera. Pomyślałem wtedy – jesteśmy w ojczyźnie, kilka kroków od domu i dalej musimy cierpieć głód.

Wkrótce przyjechała ciężarówka. Kierowca poinformował nas, że jedzie bezpośrednio do Certaldo. Skorzystaliśmy z okazji, aby zakończyć kolejny mały etap podróży. Około południa dotarliśmy do miasteczka Valdelsa. Ledwo zsiadliśmy, gdy otoczyło nas mnóstwo kobiet, chcących dowiedzieć się czegoś o krewnych internowanych w niemieckich obozach. Młoda kobieta, która przywitała nas serdecznie w imieniu UDI^{40/}, zaprosiła nas do restauracji na obiad. Choć nic wtedy nie wiedzieliśmy o UDI, podziękowaliśmy i przyjęliśmy zaproszenie, wzruszeni serdecznym przyjęciem. Zaserwowano nam cannelloni z ragout, pieczone mięso z sałatką, gruszki i chianti z butelki w słomianym koszyczku. Chciwie wszystko jedliśmy i piliśmy dobre wino. Jednak nasze żołądki odwykły już od takich potraw i wina, więc od tego doskonałego jedzenia bardziej zrobiło się nam niedobrze, niż nas wzmocniło. Mimo to zachowamy na zawsze żywe i wdzięczne wspomnienie młodej kobiety z UDI w Certaldo.

Po kilku godzinach czekania przyjechała ciężarówka, której platforma przykryta była warstwą słomy. Przewoziła ludzi i jechała w kierunku Sieny. Kilkoro mężczyzn i kobiet już było na naczepie. Między nimi była też kobieta z Monticiano, którą dobrze znałem. Przez chwilę się wahała, ale nagle rozpoznała mnie, mimo mojego żalosego wyglądu, i objęła. Opłaciła koszty naszego przejazdu u kierowcy i opowiedziała mi w kilku słowach o walkach i zniszczeniach, jakie wojna sprowadziła na naszą wieś. Dodała, że moi krewni są wszyscy cali i zdrowi. Te ostanie słowa wywarły na mnie takie magiczne działanie, że nagle o wszystkim zapomniałem i poczułem się lekki jak żdźbła słomy, które fruwały w powietrzu wzbijającym przez pędzącą ciężarówkę.

40/ UDI – Unione delle Donne Italiane (Unia Włoskich Kobiet), organizacja założona w 1944 roku w celu obrony praw kobiet.

Był 16 lipca, gdy nareszcie wpadłem w ramiona moich krewnych. Radość i nieopisane emocje przenikały mnie, nie próbowałem nawet ukrywać moich uczuć, tak jak i moi najbliżsi.

Mała, ale dla mnie osobiście wielka odyseja zakończyła się. Znów byłem w mojej ojczyźnie: cztery lata wcześniej opuściłem ją, wyruszając z Brindisi, a wróciłem do niej przez Alpy. Silna wola przetrwania opłacała się. Byłem spokojny, wszelka nienawiść i uprzedzenia były już tylko wspomnieniem, ale... nie byłem już zdolny do spania w łóżku z prześcieradłem!

Florencja, luty 1987